

TAEKWON-DO sztuka walki sztuka życia

Str. 10

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

Kamena

NR 16 (762)

7 - 20 listopada 1982

CENA 10 ZŁ

Kulturę oddać w ajencję?

Henryk Pajak

RUSZYŁ nowy sezon w kulturze. Ścisłej — w upowszechnianiu kultury. Ruszyły też cukrownie, prace wykopkowe i szereg ważnych robót przedzimowych: jakże daleko kulturze do ważności tej krzątany! Przez kilka dziesiątków lat pokornie wlokła się ona w ogonie społecznych potrzeb i hierarchii, toteż nikt, szczególnie teraz, nie oczekuje, że z brzemieniem trzech S nagle przyspieszy kroku.

Trzeba też przyznać, że i w sferze niematerialnej kulturze wiedzie się ostatnio zupełnie kiepsko: nie ma dobrej „prasy”, nie za dużym cieszy się zaufaniem, a z jej społecznym autorytetem także nie jest najlepiej. Zderzenie z brutalnymi realiami życia: kolejkami, talonami, reglamentacją i wiązaniem końca z końcem, z atmosferą

Dokończenie na str. 4—5



Grupa „Bajm” — od lewej: Andrzej Pietras, Henryk Mazurek, Beata Pietras, Marek Mankuch, Jarosław Kozidrak i Bogdan Tchórzewski. Artykuł — str. 12.

Fot. C. Krupa

Jeziro Genewskie (5)

BYL 21 października 1924 r., kiedy z dworca kolejowego niewielkiego szwajcarskiego miasteczka Vevey nad Jeziorem Genewskim wyruszył w stronę Polski pociąg specjalny, wiozący trumnę ze zwłokami Henryka Sienkiewicza. Wielki pisarz, autor tylu powieści, które tworzył z myślą o „pokrzepieniu serc” współrodaków znajdujących się w ponad stuletniej niewoli, sam nie zdołał doczekać dnia wyzwolenia. Właśnie tutaj, w Vevey, zmarł w połowie listopada 1916 r., prawie dokładnie dwa lata przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości.

Pod koniec 1923 r. wśród członków Kasy Literackiej w Warszawie zrodził się projekt sprowadzenia do kraju zwłok autora „Trylogii”, zawiązał specjalny komitet; sprawa spotkała się z głębokim oddźwiękiem wśród społeczeństwa. I oto teraz Vevey żegnało wielkiego Polaka, który tu, na szwajcarskiej ziemi, nad wodami szarego Lemanu, spędził ostatnie dwa lata swego życia.

Pociąg żałobny jechał przez Lozannę, Fryburg, Berno i Zurich, następnie przez Innsbruck i Wiedeń, a potem przez Czechosłowację. Trasą, jaką za życia tyle razy przemierzał Sienkiewicz, incognito, w swych podróżach do małego alpejskiego kraju, który zawsze chętnie dawał schronie-

nie patriotom, bojownikom o wolność, o sprawiedliwość społeczną, artystom. Na stacjach kolejowych większych

miast szwajcarskich, austriackich i czechosłowackich witaly żałobny pociąg tłumy ludzi, chyliły głowy delegacje władz państwowych. Na granicy polskiej w Piotrowicach przemawiał nad trumną Sienkiewicza przedstawiciel polskich literatów, Leopold Staff. Potem były Katowice, Częstochowa, z tysiącami Polaków na peronach, z morzem kwiatów, wieńców, z lasem sztandarów spowitych kirem, były dziesiątki stacji i stacyjek kolejowych, na których pociąg się nie zatrzymywał, ale gdzie mimo to stały tłumy. Aż wreszcie, 26 października pociąg dojechał do Warszawy.

Nazajutrz, 27 października 1924 roku, ruszył przez stolicę ogromny kondukt żałobny. Na Krakowskim Przedmieściu, przed pomnikiem Adama

Mickiewicza, żegnał twórcę „Ogniem i mieczem”, „Potopu” i „Pana Wołodyjowskiego” prezydent Rzeczypospolitej, Stanisław Wojciechowski. Potem był już tylko Plac Zamkowy, staromiejska uliczka i katedra św. Jana

padywał deszcz, nad rozfalowanymi wodami Lemanu siała się mgła — tak gęsta, że nie można było dojrzeć gór po niedalekiej już w tej końcowej części jeziora francuskiej stronie. Dopiero przed samym Vevey jakby się trochę

Śladami Henryka Sienkiewicza

Mirosław Derecki

gdzie zwłoki Henryka Sienkiewicza spoczęły w specjalnie przygotowanej, podziemnej krypcie.

W niespełna sześćdziesiąt lat później, również w końcu października, jechałem pociągiem z Lozanny do Vevey. Podróż niedługa; osiemnaście kilometrów, dzielące stolicę kantonu od miasteczka zwanego perłą „szwajcarskiej Riwieri” pociąg pośpieszny przebiega w ciągu kwadransa. Tor kolejowy zbliżał się niekiedy na odległość zaledwie kilku metrów do brzegu Jeziora Genewskiego, migwały w oknach wagonu wzgórza pokryte winnicami, małe stacyjki z napisami: „Lutry”, „Cully”, „Rivaz”, „St. Saphorin”, po-

przejaśniło; gdy pociąg dojeżdżał do stacji, zobaczyłem miasteczko jak na dłoni — przysiadłe na dnie ogromnego górskiego amfiteatru, otwierającego się jedną stroną na Jezioro Genewskie.

Rzymianie nazywali je Vibiscum. Leżało na drodze wiodącej do Italii, stanowiło dogodny punkt strategiczny, miało też dobre położenie handlowe. W czasach upadku Cesarstwa Rzymskiego skończył się także dla Vibiscum okres rozkwitu. Dopiero w kilka wieków później doprowadzili Vevey do bogactwa licznie osiadli tutaj francuscy protestanci, zbiegli przed prześladowaniami religijnymi we własnym kraju. Z tamtych czasów zachował się góru-

Dokończenie na str. 8

Zachęcamy do prenumeraty „Kamena”

INFORMUJĄ nas czytelnicy, że w wielu kioskach, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach, nie mogą nabyć „Kamena”. W związku z tym radzimy nasze czasopismo zaprenumerować. Zgłoszenia na prenumeratę roczną (na rok 1983, rok szczególny, gdyż „Kamena” świętować będzie swe 50-lecie) przyjmowane są do 25 listopada br.

A oto warunki prenumeraty:

— instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby RSW „Prasa-Książka-Ruch”, zamawiają prenumeratę w tych oddziałach;

— instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich — opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Podobnie w urzędach pocztowych i u doręczycieli opłacają prenumeratę czytelnicy indywidualni zamieszkałi w mniejszych miejscowościach i we wsiach. Natomiast czytelnicy zamieszkałi w tych miastach, gdzie są siedziby RSW „Prasa-Książka-Ruch”, udają się do urzędów pocztowych i tu przy pomocy „blankietu wpłaty” przekazują pieniądze

na rachunek bankowy: Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki w Lublinie, ul. M. Buczka 24, nr konta: 43023-5193, NBP I/O Lublin.

„Kamena” można również zaprenumerować dla rodzin i znajomych za granicą. Prenumeratę przyjmuje (też za pośrednictwem poczty) Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 — 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-131-11.

Prenumerata roczna w kraju kosztuje 260 złotych. Jeśli osoba prywatna zamawia „Kamena” dla kogoś, kto mieszka za granicą, płaci 390 złotych. Jeśli czyni to instytucja, opłata wynosi 520 zł.

Do prenumeraty zachęcamy tym bardziej, że w przyszłym roku zamierzamy zamieszczać wiele atrakcyjnych tekstów, które będą drukowane w kilku czy kilkunastu następujących po sobie numerach. W przeszłości bywało tak, że jeśli ktoś nie nabył numeru z brakującym mu do całości fragmentem powieści, zwracał się do nas z prośbą o przysłanie danej „Kamena”. Nie zawsze mogliśmy tę prośbę spełnić. Prenumerata pozwoli uniknąć wszystkim tego rodzaju kłopotów!

Ład moralny

DO bogatej gamy oddziaływania na umysły i serca Czytelników dział sportowy „Sztandar Ludu” wiązały również moralitet. Nie wiadomo, od jak dawna forma ta jest praktykowana, wiadomo, że na pewno 25 października br. Ma ona tytuł „Sportowa wendeta?”. Dotyczy czterech osób i wódek. Osoby: Lesław Cmikiewicz, trener piłkarzy RKS „Motor”, Waldemar Wiater, kapitan drużyny (o czym widać autor, P. „Atech” nie wie), Bronisław Waligóra, były trener oraz niejaki W. P., który rozmawiał w „Kamenu” z dwoma pierwszymi. Tyle wstęp.

Trener Cmikiewicz i piłkarz Wiater wydawali z siebie „wzruszający bełkot”, a niejaki W. P.: ów „bełkot” spisywał i podawał czytelnikom „Kamenu”, do której to grupy należy — jak się okazuje — „Atech”. Co gorzka „bełkot” był podawany na ostatniej stronie piama i tylko zapewne nawal innych tekstów nie pozwolił ripostować „Atechowi” na pierwszej stronie „Sztandaru Ludu”, ale również na ostatniej, co w przyszłości nadrobi, być może, z nawiązką.

Niejaki W. P. nie jest niestety lejajnym współtowarzyszem przyjmowania alkoholu z Bronisławem Waligórą, co stwierdza autorytet moralny „Atech”. Najpierw W. P. z Waligórą pije (nie jest wykluczone, że na koszt trenera), a potem W. P. słucha, jak inni nieudolnie mówią o umiejętnościach Waligóry. Wierzy w te brednie, a nawet pisze. Stawia to — jak wiadomo — ciężkie naruszenie etyki piłkarskiej, o czym przekonuje nas „Atech”, który widząc o tym nagannym środowisku (piłkarskim) wyniósł tylko z księgik Niżelskiego i komiksów o kpt. Zbiku. Wyraża on też obawę, że jak Waligóra wróci (wprowadzać „Motor” do ligi), co naturalnie nastąpi niebawem, to niestety niejaki W. P. będzie wyglądał źle.

Szerząc ład moralny w sporcie i dziennikarstwie, „Atech” całą swoją twórczością i krytyką zaświadcza, iż jest jego ideałem. Nigdy — jak powszechnie wiadomo — nie pił alkoholu z Waligórą i tylko więzy indiańskiego braterstwa sprawiły, że po wielu namowach dał się nakłonić na zimowe wakacje w Jugosławii z „Motorem”. Wobec pracy i osiągnięć Waligóry zachowywał zawsze pryncypialność godną tytułu, w jakim pracuje, a tylko nawal pracy i brak czasu nie pozwoliły mu na podumowanie ostatniego sezonu „Motoru” w ekstraklasie. Również tylko najgłębsza troska o przyszłość lubelskiej piłki sprawiła, że po wielu wahaniach dał się namówić na wyjazd z „Motorem” do Swajczarii, w ramach Pucharu Laia, pod nowym już trenerem, który swego gestu determinacji „Atech” nie docenił i obecnie wydaje „bełkot” pod adresem umiejętności taktycznych piłkarzy, jak wiadomo znakomicie wyczerpanych przez Waligórę.

Należy przypuszczać, że wyprostowany kręgosłup moralne Cmikiewicza, Wiatera i niejakiego W. P. „Atech” dalej będzie usilnie pracował nad podniesieniem futbolu w Lublinie na wyższy. Chwilowa — jak należy przypuszczać — nieobecność trenera Waligóry mu w tym nie przeszkodzi.

W.P.

Z NOTATNIKA

26.X. W lubelskim „Ruchu” przejrzałem dane mówiące o kioskowych nadsyłach poszczególnych pism i ich zwrotach. Trudno było mi notować wszystkie dane, wybrałem te, które dotyczą ostatniego numeru. Nie mam oczywiście na myśli tego numeru, który właśnie wycofano z kiosków (dane zbiera się sukcesywnie). Numery, o których mowa, pochodzą z przełomu września—października. Dane zaś odnoszą się do czterech wschodnich województw — lubelskiego, białkopodlaskiego, chełmskiego i zamojskiego.

Co z nich wynika? Stara prawda, że najlepiej idą „pisma kolorowe”, a rekord bije „Przyjaciółka”: nadsiał 98 140 egzemplarzy, zwroty — 812. Na drugim miejscu jest „Kobieta i Życie” (analogiczne dane: 22 606 i 277). Inne tytuły: „Filipinka” — 11 035 i 14, „Perspektywy” — 8075 i 1314, „Panorama” — 11 002 (bez zwrotów), „Nowa Wieś” — 22 602 i 477, „Przekrój” — 16 105 i 33, „Motor” — 6181 i 4, „Karuzela” — 19 450 i 868, „Film” — 6233 i 27, „ItD” — 4900 i 248, „Rozrywka” — 8241 i 4.

Prasa społeczno-kulturalna ma, niestety, duże zwroty. „Przegląd Tygodniowy”: nadsiał 2725, zwroty — 1272, „Tu i teraz”: 2545 i 1648, „Tygodnik Kulturalny”: 2086 i 1419, „Poglądy”: 47 i 24, „Odgłosy”: 65 i 38, „Życie Literackie”: 690 i 264.

I dla poszerzenia optyki jeszcze inne tytuły. „Polityka”: 5250 i 534, „Rzeczywistość”: 1360 i 799, „Tygodnik Demokratyczny”: 1740 i 335, „Argumenty”: 1425 i 911, „Kierunki”: 784 i 277, „Fakty”: 350 i 236, „Przegląd Techniczny”: 3391 i 337, „Antena”: 6480 i 1686.

Z własnego podwórka — „Kamena”: 13 300 i 4597.

Prasa nie jest wcale taka tania, ludzie poszczególne pisma wypożyczają sobie nawzajem. Mimo wszystko musi jednak niepokoić fakt, że w takim na przykład Lublinie, mieście uniwersyteckim, mieście wielu szkół średnich, „Życie Literackie” na 300 egzemplarzy ma aż 102 zwroty...

Nie dziwi mnie, gdy niektóre redakcje, szukając czytelników, sięgają po horoskopy. Ale kiedy czyta się horoskopy tak sprzeczne, wierzyć się nie chce, że TO jeszcze tu i ówdzie chwytają...

30 X. Kolejne, X, Plenum KC PZPR. Waldemar Swirgoń, przewodniczący Zarządu Krajowego Związku Modzieży Wiejskiej, powołany na sekretarza KC. Odnotowuję ten fakt z uwagi na rok urodzenia Swirgonia: 1953. 29-letni sekretarz KC — w powojennych dziejach PPR, PPS i PZPR pierwszy to chyba tego rodzaju przypadek. Ale dobrze: partii i na górze potrzebny jest zastrzyk świeżej krwi.

Materiałów z X Plenum nie zdążyłem jeszcze dobrze przestudiować, wolę zresztą czytać przemówienia dyskutantów w całości, a nie w streszczeniu, myślę, że znajduję w „Nowych Drożach”. Już po streszczeniach poszczególnych wystąpień można jednak spoznać, że nie było to wzajemne prawienie sobie komplementów.

Z końcowego przemówienia gen. Wojciecha Jaruzelskiego odnotowuję słowa: „[...] W świetle zbliżającego się końca roku ożywa zapowiedź ewentualności zawieszenia czy zniesienia stanu wojennego. Dywersyjne ośrodki zagraniczne oraz antysocjalistyczne podziemie zapowiadają i nawołują do poczynań godzących w gospodarkę narodową, podważających proces normalizacji. Chyba było dość dowodów na to, że swanturniczne próby nie mają szans. Najsmutniejsze jednak jest to, że wszystkie tego rodzaju wyczyny sięją tylko niepokój, targają ludzkie nerwy, utrudniają porozumienie, opóźniają przezwyciężanie kryzysu.

[...] Toczy się ostra walka klasowa, a w niej konieczna jest jasność, precyzja. Nie wydaje mi się, byśmy w tej walce popelnili jakiegoś szerszego występczego przegięcia. Na odwrót, można powiedzieć, że nasz stan wojenny jest wyjątkowo umiarkowany. Oczywiście byłoby pyszałkowatością, gdybyśmy uważali, że wszystko jest idealnie i dobre. Na pewno są i były określone fakty, sprzeczne z naszą linią. Przypadki uproszczonych ocen, odgrywania się, wykorzystywania sytuacji. Gdy toczy się walka, zdają się i ciężyć na oślepi. I dlatego też jest nakazem socjalistycznego humanizmu, jeśli ktoś został skrzywdzony, odechnięty — to należy do naprawy, wyciągnąć stosowne wnioski, nie dopuścić na przyszłość do błędów.

Nie będzie w Polsce pobłażania dla wrogów. Ale i nie będzie ludzi drugiej kategorii — oto nasza zasada „kardynalna”...

IXI. Pisał Ojciec przed 20 laty w „Kamenu” (nr 21, 1962 r.): „Na niektórych nagrobkach widnieją te trzy litery D.O.M., będące skrótem łacińskiego Deo Optimo Maximo, a które tak logicznie układają nam się w wyraz „dom”. Te „domy” naszych najdroższych odwiedzamy tłumnie w tradycyjne dni zaduszkowe. Zwyczaj czczenia zmarłych jest chyba tak stary jak sama ludzkość. Jest religijnym nakazem dla jednych, przestrzeganiem tradycji przez innych, dla wielu przede wszystkim potrzebą serca...”

Od dziewięciu lat i Ojciec ma swój „dom” na cmentarzu przy ul. Obrońców Pokoju. Czas jest nieublagany, od śmierci nikt nie ucieknie. I mnie bliżej niż dalej...

Ponad dziesięć lat minęło już od śmierci Konrada Bielskiego i Wacława Gralewskiego. Nie ma wśród żywych i Jerzego Dostatniego i Marii Bechczy-Rudnickiej, ludzi tak bardzo związanych z „Kamena”.

Przechadzam się po cmentarzu, zapalam świeczki i myślami wracam do chwili, gdy byli oni wśród nas, gdy wspierali swoją radą, myślą, swym piórem „Kamena”...

Przechadzam się po cmentarzu, ale ogarniają mnie i inne refleksje, gdy patrzę na zaniedbany grób Leszka S.: na blasze nie można już odczytać całego nazwiska, o nagrobku do dzisiaj nikt nie pomyślał. Smutnie też prezentuje się grób Jurka T.: rodzina niebiedna przecież, zdobyła się tylko na mosiężną (boda!) płytkę z imieniem i nazwiskiem. Czyżby po jedenastu latach od jego śmierci oczekiwano, by Miasto wystawiło pomnik temu twórcy tak zasłużonemu dla lubelskiej kultury?

Maria Bechczy-Rudnicka, wiedząc, że pozostała sama na świecie, zawczasu wyrzyła na płycie swoje dane personalne, wystarczyło tylko wstawić datę odejścia. Okazuje się jednak, że i na rodzinę nie zawsze można liczyć, chociaż jest na miejscu...

M. A. Jaworski

KRONIKA

● Ponad 200 grup inicjujących związki zawodowe działa w woj. lubelskim, a do sądu wpłynęły pierwsze wnioski o zarejestrowanie nowych organizacji związkowych.

● Kraśnicka Fabryka Łożysk Toczących produkuje więcej, niż w roku ubiegłym, a wyniki mogłyby być jeszcze lepsze — jest materiał i odpowiedni park maszynowy — gdyby nie brak ludzi do pracy: do planowego poziomu zatrudnienia brakuje 731 osób!

● Przypisywane Szymonowi Łaluszowskiemu, siedemdziesięcioletniemu organu w kamieniarskiej farze — snów kraj. Wieloletnia konserwacja instrumentu pochłonęła 6 mln państwowych złotych. Inwestorem było Muzeum Kamieniarskie Dolnego, głównym wykonawcą — PP PKZ w Krakowie, wspierane przez konserwatorów z Lublina i Warszawy. Ponadto w pracach uczestniczyli specjaliści z szedro uczełni krajowych i innych instytucji.

● I sekretarz KW PZPR w Lublinie, prof. dr Wiesław Skrzydło na otwarciu konferencji ideologicznej w 100-lecie polskiego ruchu robotniczego (18 października): „przecież wszystkie sprawy dnia dzisiejszego tkwią w życiu kożeniemi głęboko w przeszłości i dlatego też właściwą polityką współczesną kształtować musimy właśnie w oparciu o znajomość myśli politycznej polskiej lewicy, kształtowanej i rozwijanej w ciągu 100-lecia naszego ruchu”.

● 20 października w Lublinie Wojciech Zukrowski i wicewojewoda Andrzej Szpringer (gratulujemy nominacji) wręczyli nagrody laureatom ogólnopolskiego konkursu na powieść z życia Lubelskiego Zagłębia Węglowego. (Listę nagrodzonych autorów zamieściliśmy w nr. 12 pisma).

● Lubelska odlewnia żelwa, filia „Ursum”, podpisała porozumienie o współpracy z Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych, które, jak i inne szkoły artystyczne w kraju, cierpi dziś na brak różnych materiałów (drewna, lakierów, gwoździ, tworzyw sztucznych) i urządzeń niedozwanych w procesie nauczania. Otrzymawszy m.in. te wartości od fabryki, liceum zwróciło się o estetykę zakładu.

● W regionie lubelskim ludzie nie wykupują: ok. 15% masła, ponad 38% maki i kilkanaście procent masła z przydziałów kartkowych.

● W ramach zakończonej niedawno Warszawskiej Jesieni Poezji odbył się m. in. konkurs jednego wiersza. Nagrodę główną otrzymał Adam Decowski z Rzeszowa, jedno z siedmiu wyróżnień — Henryk Makarski z Lublina.

● 1350 telefonów przybieźle w tym roku w Lublinie. Na założenie aparatu szeka obecnie niemal 15 tys. osób.

● „Prezentacja 82” lubelskiej Estrady cienia się niesłabnącym powodzeniem publiczności. Z rzeczy swojskich odnotowujemy udaną premierę kabaretu „Kosa Nostra” (gratulacja dla Stefana Lipca i towarzyszy) oraz — w przyszłości nie obyczajowej — lawencie anonimów, którzy prawie doskonale fałszowali bilety produkowane we własnej „oficynie”, na drugi z kolei meeting rockowy. Poza tym podobal się Andrzej Rosiewicz, który doskonale opanował sztukę ław. cieniowej akcji.

● Ostatnia (87 października) giełda samochodowa w Lublinie: mało towaru, mało klientów. Były za to unikalny, easy... koszyki po 50 tysięcy.

Ludzie i groby

Zdzisław Cackowski

WIERZYCIELE I zadłużeni. Kto jest kim? Można by powiedzieć, że wszystkie spory, kłótnie i walki między ludźmi dotyczą tego właśnie pytania. Kto jest wierzyicielem, a kto dłużnikiem? Dłużnikiem materialnym, czy moralnym. Od sporów w rodzinie, sporów i konfliktów międzypokoleniowych, przez walki klasowe, walki i wojny między państwami i narodami, aż do walk między strukturami ustrojowymi i cywilizacyjnymi a międzynarodowym zasięgu, przewija się ten spór, przybierając przeróżne formy, od utarczek słownych poczynając, na krwawych bataliach kończąc.

Istnieje pewna postać, pewna warstwa tego sporu o dług i zadłużenie, która ma charakter szczególnie intymny, cichy, jakby wstydlivy. Szczególna cisza tego sporu wiąże się najwidoczniej z tym, że jedna z jego stron już w nim nie uczestniczy. Tę stronę — nieobecną symbolizują milczące groby. Milczą one, ale często jakże wymownie, w sporze o dług i zadłużenie. Pytanie więc o to, kto jest dłużnikiem, a kto nie spłaconym wierzyicielem? —

żywi, czy umarli? — odzywa się niekiedy już tylko w sercach żywych; inaczej być nie może. Ale w tym cichym i jednostronnym sporze żywi są stroną, stroną zainteresowaną, na ogół wobec siebie pobłażliwą; ich sumienia są również im życzliwe, usłuszne, łagodzą raczej ciężar zadłużenia, słabym więc są rzecznikiem strony, która sama za siebie mówi i działać już nie może. Są jednak momenty w życiu żywych, które w szczególny sposób podnoszą wrażliwość serca i przyczyniają się do wzrostu bezstronności naszych sumień. Są to momenty nad grobem; nad grobem ojca, matki, męża, dziecka, przyjaciela, znajomego, człowieka; tak czy inaczej nad grobem; kogoś z nas, w jakimś więc sensie nad naszym grobem. Wtedy szczególnie jesteśmy podatni na pomyślenie o sobie jako o dłużniku, wtedy najżywszy jest w nas głos strony cichej, która sama już mówić nie może.

Pomyślimy, z tego punktu widzenia, przez chwilę nad światem żywych i „światem umarłych”. Niech punktem wyjścia będzie pytanie o stosunek liczący ludzi dzisiaj żyjących na Ziemi do

„Witamy kochanego Henia”

Waldemar Piasecki

PRZYGARBIANA staruszka wolno idzie w stronę poniatowskiego „Supersamu”. Temat ją wyraźnie elektryzuje: — Oj, panie złościutki, święto mieliśmy wielkie. Na krzyciutki, wisieliśmy napis, że witamy, znaczy się my, Henia z Anglii. Ale, że z Anglii, to nie było napisane i masa z tego, panie złościutki, śmiechu wyszła, bo nasz naczelnik też Henio. Znaczą się Henio Śmiech. Ludzie patrzyli i się dziwowali. Mówili, że pewnie gdzieś daleko musiał wyjechać i teraz wraca. Może nawet na spotkanie z Jaruzelskim. Tak im się zdawało. Ja tam, panie złościutki, na tych świętach nie byłam. Nawet do Kraczewic w niedzielę na mszę nie dałam rady się wybrać. A msza była specjalna, w intencji Henia z Anglii. No i paczki mieli dawać, co je Henio tym autobusem przywiózł... Masa luda poszła.

Przypadkowo napotkany członek „Szczygielków” (I klasa liceum) informuje, że o 17-tej jest próba dla starszych, a o 16-tej dla młodszych dzieciaków ze „Scholares Minoros Pro Musica Antiqua”. Jest więc pewien konkretny. Czy pp. Danielewiczowie są, nie wie. Jak by ich nie było, to i chyba próby by nie było. Thumaczy, jak dojść do Klubu Juniora, gdzie zespół ma swoją siedzibę.

Robotnik z „Edy”:
— Co będziemy dużo gadać. Poniatowa miała dwa dni amoku przez ten autokar przywieziony z Anglii. To był jedyny temat, zresztą jest do dziś. Cuda też się mówi o przywiezionych prezentach. Ale co to mnie w końcu obchodzi. Moje dzieci nie są w tych „Scholarasach”...

W tym miejscu należało się wyjaśnienia. Zespół „Scholares Minoros Pro Musica Antiqua” jest niezwykłą zagadką pp. Danielewiczów, którzy przez siedem lat udowodnili i robią to nadal, że na prowincji można kulturowo nie tylko upowszechnić, ale i tworzyć „Szczygielki” (bo jest to nazwa wymienna) po sukcesach krajowych zaczęły pokazywać się także za granicą, odwiedzając, od 1978 roku począwszy: Belgię (dwukrotnie), RFN (dwukrotnie), Turcję (dwukrotnie), Jugosławie, Wielką Brytanię i ostatnio Czechosłowację. Szlak ów znaczący był sukcesami festiwalowymi i koncertowymi. Tego nikt im nie odbierze i nikt takiego zamiaru nie ma.

W dniach 26 czerwca — 3 sierpnia br. „Szczygielki” śpiewały na Wyspach Brytyjskich. Wyjazd ten budził w organizatorach sporo niepokoju, bowiem między festiwalem, a kongresem ISME (międzynarodowa organizacja muzyczna), w którym również zespół miał brać udział, powstawała niebezpieczna 2-tygodniowa luka. Ani gdzie mieszkać, ani co jeść. Postanowiono wyposażać wyjeżdżających w namioty, śpiwory, koce oraz stosowną ilość prowiantu, żeby jakoś przetrzymać. Kiedy „Szczygielki” z kraju wyfrunęły, okazało się, że usilnie szuka ich angielski Polonus Mr. Henry Baranowski. Szukał ich po to, aby się z nimi spotkać i ewentualnie pomóc. Po wielu próbach, kontakt telefoniczny z zespołem nawiązano (bodaj w Belgii) i okazało się, że pan Henryk jest prawdziwym dobroczyńcą. Postanowił mianowicie nie tylko przeżyć i przechować „Scholarasów” przez dwa tygodnie, ale nawet ufundować im pobyt w znanym Clacton, kurorcie nadmorskim. Tak też się stało.

Wczasy opłacone przez Henryka Baranowskiego członkowie zespołu wspomniają do dziś jak wspaniałą przygodę. I zaiste, tak to można nazwać. Pan Baranowski spędził z dziećmi bardzo dużo czasu, przynosił im na plażę owoce i napoje, obdarowywał upominkami, wśród których były np. piękne srebrne medale bite z okazji „The Royal Wedding”, czyli ślubu księcia Walii Karola i lady Diany Spencer, przez Barclays Bank. Pytał również pan Henryk, jakie problemy ma zespół. Odpowiedź otrzymał, że najgorszą jest z podróży, bo te najwięcej kosztują, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi waluty wymienialne. Bez

wahania obiecał im autokar. Dziękowano, oczywiście, ale mało kto w taką obietnicę wierzył. Zdawała się być bajkowa.

Przed powrotem do Polski „Szczygielki” przemieszkały jeszcze dwa dni w hotelu (na koszt Henryka Baranowskiego), bo coś się poplątało z terminem kongresu ISME.

Pożegnanie było kordialne, serdeczne i w ogóle. Pana Henia zaproszono do Poniatowej. Słowo ciałem się stało.

Kiedy do Poniatowej dotarła wiadomość o przekroczeniu granicy przez autokar i zwolnieniu go od cła, podobnie jak i upominków, które nim jechały (oprócz tego oplandekowana ciężarówka), rozpoczęto energiczne przygotowania do święta. Przed wjazdem do miasta, przez szerokość jezdni wywieszono transparent: „WITAMY KOCHANEGO HENIA”, który dostarczał potem tyle uciechy mieszkańcom Poniatowej. Główne jednak uroczystości miały się odbyć przed budynkiem UMG i KMG PZPR oraz w kinie „Czyn”.

Pod Zakładowy Dom Kultury autokar zjechał w sobotę, 23 października br. na kwadrans przed szesnastą. Tam odbyło się pierwsze powitanie. Na pojeździe spontanicznie, przygotowaną wcześniej farbą, wymalowano napis: „HENIO”. Potem odbył się uroczysty przejazd pod wspomnianą siedzibę władz, gdzie mowę wygłosił naczelnik Henryk Śmiech. Brali udział także przedstawiciele kuratorium i ministerstwa. Potem udano się do Klubu Juniora, siedziby zespołu. Następnie o siedemnastej rozpoczęła się uroczystość w kinie „Czyn”. Zespół powitał gością hymnem „Gaude Mater Poloniae”, a słowami zrobił to samo p. Danielewicz. Henryk Baranowski otrzymał Medal Komisji Edukacji Narodowej i podobny przekazano jego żonie. Pan Henio został również honorowym członkiem „Szczygielków”, otrzymując zespołową marynarkę w kolorze błękitnym, ze stosowną dedykacją, złotym haftem na podszewce. Otrzymał również obraz Marii Urban-Mieszkowskiej i statuetkę przedstawiającą dziecko grające na flecie, czyli alegorię „Scholarasa”. Ponadto laurki i naręcza kwiatów. Sobota zakończyła się bankietem wydanym w ZDK przez rodziców „Szczygielków”.

W niedzielę, 24 października br., w godzinach rannych odbyła się w Kraczewicach msza święta w intencji dobroczyńcy, Henryka Baranowskiego. Parafia otrzymała dary przywiezione oplandekowaną ciężarówką. O godzinie szesnastej odbyło się kolejne spotkanie w Klubie Juniora, które upłynęło w rodzinnej, pełnej zrozumienia i woli dalszej współpracy, atmosferze. O 19-tej uroczystość pożegnania gości, wręczając mu albumy ze zdjęciami z dnia poprzedniego.

To było. Jest poniedziałek 25 października i wspólnie z red. Czesławą Borowik z Radia wędrujemy po Poniatowej w poszukiwaniu kompetentnych osób, które opowiedziałyby coś więcej. Do Klubu Juniora trafiamy stosunkowo późno i raczej na wszelki wypadek, bo pp. Danielewiczów ma nie być, a stąd i próby. O szesnastej zastajemy w lokalu klubowym dwoje młodych ludzi, przedstawiających się jako „kierownictwo” (czego? klubu? zespołu?). Na wieść, co nas sprowadza, reagują agresywnie:

— Powinniście być wtedy, kiedy byliście potrzebni. Dziś nie macie tu nic do roboty.

— Chcieliśmy się spotkać z panem Baranowskim, ale podobno wyjechał. Dowiedzieliśmy się, że ma być próba...

— Nie ma próby.

— Członkowie zespołu twierdzą, że mają po coś jednak przyjść.

— To jest nasza sprawa.
— Podobno mają otrzymać podarki od pana Henia...

— I co z tego?

— Nic. Nie ma w tym nic złego. Pytamy po prostu.

— Nie mamy o czym mówić. Trzeba było być w sobotę.

— Niestety, nie mogliśmy. Zresztą nikt nas o tym nie informował. Czy można wiedzieć, co dzieci dostały?

— Lista darów nie jest do waszej wiadomości. A co to, kontrola?

— Nie kontrola. Pytanie, zwykle pytanie...

— Nie mamy, o czym mówić. Nie dary się liczą, a serce.

— Jest to metafora. Dość zresztą, jak widać, pojemna...

Tego było już za dużo. Mężczyzna energicznie wskazuje drzwi.

— Do widzenia! Tam są drzwi. Dzieci będą o siedemnastej. No, do widzenia mówię... Nie słyście?!

Tak dobiegło końca pierwsze spotkanie z pp. Danielewiczami, którzy uznają się widać za osoby tak znaczne, że wypowiedzenie swego nazwiska przez gardło im już nie przechodzi.

Przez pozostające do siedemnastej trzy kwadransy czyniliśmy starania, aby przyjść do Klubu Juniora w towarzystwie sekretarza KM-G PZPR Brzozowskiego lub naczelnika Śmiecha. Niestety, bez rezultatu. Ostatecznie z dziećmi rozmawiała koleżanka, a ja z przewodniczącą Komitetu Rodzicielskiego „Szczygielków”, Aleksandrą Rojek, osobą innej już kultury niż kierownicy zespołu. Z tej, przemilej skądinąd, rozmowy dowiedziałem się, że Henryk Baranowski prowadzi działalność charytatywną od wielu lat. Opiekuje się domami dziecka w Płocku, Krakowie i Zamościu, skąd co roku zaprasza do Anglii na wakacje i swój koszt grupę dzieci. Mieszka na stałe w Londynie, gdzie ma fabrykę narzędzi szybkoskrabających oraz dobrze prosperujący sklep z dywanami. W czasie wojny był żołnierzem, a zrzadzeniem losu statek, na którym płynął do Afryki, został storpedowany i z 7 tysięcy ludzi uratowało się... 170. Był wśród nich p. Henryk, który, pływając kilka dni na kole ratunkowym, powziął decyzję, że jeżeli przeżyje, będzie pomagał potrzebującym. Czyna to do dziś i jego zasługi trudno przecenić. Jego życie stanowi znakomity materiał na reportaż. Niestety, tym razem go nie napiszę. Może kiedyś...

Na razie jest więc o, delikatnie mówiąc, „teatrze”, jaki odbywał się przez dwa dni w Poniatowej i dobrze zrobił na poczucie dumy i wartości własnej kilku osobom, a na pewno pp. Danielewiczom. Dobrze, żeby ich ktoś z tego „snu” obudził. Potrzeba taka jest. Dowodem taśma z nagraniem. Kiedy koleżanka z radia przyszła o oznaczonej porze do klubu, na krzesłach siedziało rzędem kilkoroz dzieci. Do momentu pytania o dary rzecz toczyła się w miarę normalnie. Potem wśród kaskad śmiechu dzieciaki przekrzykiwały się: *Przywiózł nam dolary!, Złoto!, Pierścionki!, Dywany!*. Pp. Danielewiczowie stali w uchylonych drzwiach, wyraźnie z siebie zadowoleni. Przy pożegnaniu nie odpowiedzieli „do widzenia”.

Po wysłuchaniu taśmy z radosną produkcją dzieciaków Aleksandra Rojek nie próbowała ukrywać zdziwienia. Przemaszała w imieniu pp. Danielewiczów i prosiła o zrozumienie ich postawy. Do pewnego momentu starałem się to robić. We wtorek, 26 października br., pan Danielewicz zjawił się w rozgłośni lubelskiej PRiTV ze skargą na „gówniarzy”, którzy zakłócili mu dobre samopoczucie niespodziewaną wizytą. Przestało mi za-leżeć.

Cytowany robotnik „Edy” powiedział również, że dobrze się stało, że Henryk Baranowski już wyjechał. Przychodzi czas przebudzenia.

liczby tych, którzy są już pod ziemią. Nie spotykam, jak dotąd, nigdzie tego pytania. A jest ono interesujące. Gdyby początek dziejów ludzkości zacząć liczyć od początku X-go tysiąclecia p.n.e. (faktycznie dzieje ludzkości zaczynają się co najmniej 1 milion lat temu), to — licząc pełną wymianę jednego pokolenia na 50 lat (średni wiek życia człowieka był w dawnych czasach o wiele krótszy niż obecnie) — mielibyśmy za sobą około 220 cykli rotacyjnych. Nauka szacuje dzisiaj liczbę ludności świata: w r. 10 000 p.n.e. na 5 mln.; w r. 500 p.n.e. — 60 mln.; w r. 1650 — 500 mln.; w r. 1830 — 1 mld.; w r. 1930 — 2 mld.; w r. 1980 — 4 mld.

Bardzo niedokładny i uproszczony szacunek, oparty na przytoczonych liczbach, pozwala przypuszczać, że gdyby zmarli zgromadzeni na Sąd Ostateczny w dolinie Jozafata, mieli być odprowadzani przez żywych „świadków” Sądu, to stosunek liczbowy „świadków” do „sądzonych” kształtowałby się w sposób następujący: r. 500 p.n.e. — 60 mln. żywych i co najmniej 5,7 mld. umarłych (1/95), r. 1650 — 0,5 mld. i 13,7 mld. (1/27), r. 1830 — 1 mld. i 16,5 mld. (1/16), r. 1980 — 4 mld. i 21,5 mld. (1/5).

Mimo niedokładności tych obliczeń dwie konstatacje można przyjąć za pewne. Pierwsza: więcej ludzi jest pod ziemią (w grobach, na pobojowiskach...), niż nad ziemią. Druga: przy rosnącej liczbie ludzi żyjących stosunek liczby żyjących do liczby umarłych zdążył do

jedności. Nie będziemy się tu bawili obliczaniem czasu potrzebnego do zrównania się z sobą tych dwu liczb, zaleźnego — rzecz jasna — od tempa przyrostu ludności. Ktoś mający upodobanie do myślenia kategoriami apokaliptycznymi mógłby w ten sposób wyznaczyć moment „końca świata”. Pominiemy pytanie o to, co by było, gdyby takie zrównanie faktycznie nastąpiło i czy w ogóle miałoby to istotne znaczenie dla żywych. Dodajmy jeszcze tylko, że przy ustabilizowaniu się liczby ludności na dowolnym poziomie, stosunek liczby żywych do liczby umarłych będzie ciągle mały, czyli będzie się zmniejszał w kierunku przeciwnym do tego, co obserwuje się dotąd. W każdym razie dotąd tak się rzeczy mają, że tych, którzy żyli przed nami, zawsze było i ciągle jest znacznie więcej, niż nas żyjących aktualnie.

Podjąłem to — na pierwszy rzut oka dziwne — pytanie o stosunek liczby ludzi obecnie żyjących do liczby tych, którzy odeszli, ze względu na pewien problem dotyczący wartości (problem aksjologiczny), który od pewnego czasu zaprząta mi głowę. W swych rozważaniach nad problemami dotyczącymi wartości, w tym wartości moralnych, doszedłem do wniosku, że działa w tej dziedzinie swoiste prawo zachowania: nic z niczego, nie za darmo! Każda wartość tworzona przez człowieka jest zawsze okupiona jakąś inną wartością, zużyciem jakiejś wartości własnej lub cudzej. Realizując jakiegokolwiek wartości okupujemy trudem naszym włas-

nym lub cudzym, lub — wreszcie i najczęściej — własnym i cudzym. Gdy nasze własne wartości realizujemy — częściowo czy całkowicie — kosztem cudzym, wtedy osiągnięty przez nas „zysk” nie jest opłacony, jest zadłużeniem; zapłacił w tym przypadku ktoś inny, komu — ewentualnie — wystawiliśmy jakiś czek, weksel. Owszem, bywa, że weksel ten z czasem wykupujemy, że odpłacamy dobrem za dobro. Ale bywa i inaczej, tak mianowicie, że człowiek z niewykupionym wekslem odchodzi bezpowrotnie, uwalniając nas od długu, dzięki czemu stajemy się — jego kosztem — wzbogaceni, obdarowani...

I oto patrzę na groby, na których zapala się jeszcze świeczki i stawia kwiaty, oraz wyobrażam sobie groby dawno zrównane z ziemią, albo takie, których nigdy nie usypywano. Ileż krzywd nigdy nie wyrównanych zasypała ziemia, ileż krwi, potu i trudu, które użyźniały glebę późniejszych pokoleń, nie zaowocowała dla tych, którzy ciężar trudu dźwigali, pot i krew przelewali! Ileż „niewykupionych weksli” obróciło się w proch wraz z miliardami ludzkich ciał! To daje mi — być może częściowy tylko — obraz ceny tego, co człowiek osiągnął i z czego korzystają dzisiaj żyjący, ceny zapłaconej przez imnych; nie bowiem za darmo.

Te „niewyrównane rachunki” wzbudzają często refleksję i niepokój nasze sumienia. Niepokój ponieważ, pełna, dojrzała wdzięczność dla na-

szych nauczycieli i wychowawców przychodzi zwykle wówczas, gdy jesteśmy od nich dalecy i nie możemy im swej wdzięczności przekazać; niekiedy przychodzi ona wówczas, gdy ich już nie ma wśród żywych. To samo można powiedzieć o naszych rodzicach, przyjaciółach... Pocieszamy się wtedy, że dług spłacimy innym, naszym dzieciom, naszym wychowankom, przyszłym pokoleniom... Ale tym wobec których jesteśmy „zadłużeni”, dług już nie zwrócimy? Ta sprawiedliwość, to wyrównanie już się nie dopełni.

Te „niespłacone rachunki” próbuje się przekazać do „uregulowania” Panu Bogu, w świat pozagrobowy. Ludzie jakby nie chcieli, czy nie mogli pogodzić się z tym niewyrównaniem, które jest niezaprzeczalnym faktem naszego ziemskiego życia. Nie chcemy jednak, aby było ono faktem w ogóle, po prostu faktem, aby pozostało naszym zadłużeniem i obciążeniem naszego sumienia. Powołujemy wyobrażoną, mityczną Instancję, która ma nasze długi za nas spłacić; ma uczynić zadość moralnemu wymogowi sprawiedliwości, który my sami naruszamy. Ładnie to ze strony naszego sumienia, że sprawiedliwości się domaga, niezbyt zaś chlubne — ale jakie ludzkie — że jej spełnienia domaga się ono od KOGOS INNEGO.

WIDOKI REGIONALNE

Ireneusz J. Kamiński

ALBRECHTÓWKA w Kazimierzu Dolnym to rozległy, pokryty gęstą zielenią pas ziemi, wienający wysoką skarpe nad rzeczną, z której widać zielono-błękitny kawał świata tak wielki, jak nasze złudzenia, że pobliską Wisłę uda się uchronić przed ocembrowaniem. Woda płynie jeszcze szerokim nurtem, ale przemysłne ostrogi, główki i inne tamy zwięzają arterię narzutami żółtego piachu tak skutecznie, że nie stoi na przeszkodzie, by porównać ten proces do zamulania tętnic cholesterolu.

Wśród nielicznych zabudowań Albrechtówki uwagę zwracają dwa: pałac i ruderę, stojące niedaleko siebie, z 50 metrów. Ta ostatnia nie posiada dachu, syple dokola cegłą i wapieniem, z jej wnętrza strzelają w niebo drzewa i dorodne krzewy, ale zachowane jeszcze mury wabią oko nie spotykana w Kazimierzu stylizacją i wyraźnym, rzetelnie wykonanym napisem: „Irena Kwaśnik, Zwolen”. I to wszystko, co pozostało z willi Stanisława Szukalskiego, kupionej w międzywojniu przez tego utalentowanego rzeźbiarza i zawziętego wroga kolaboracji sztuki polskiej z francuską, który zamierzał osiąść w Kazimierzu dla pięknych widoków i królewskiej tradycji miasteczka, ostatecznie przecież osiedlając się na zachodnim wybrzeżu USA, sprzedawszy uprzednio willę na Albrechtówce.

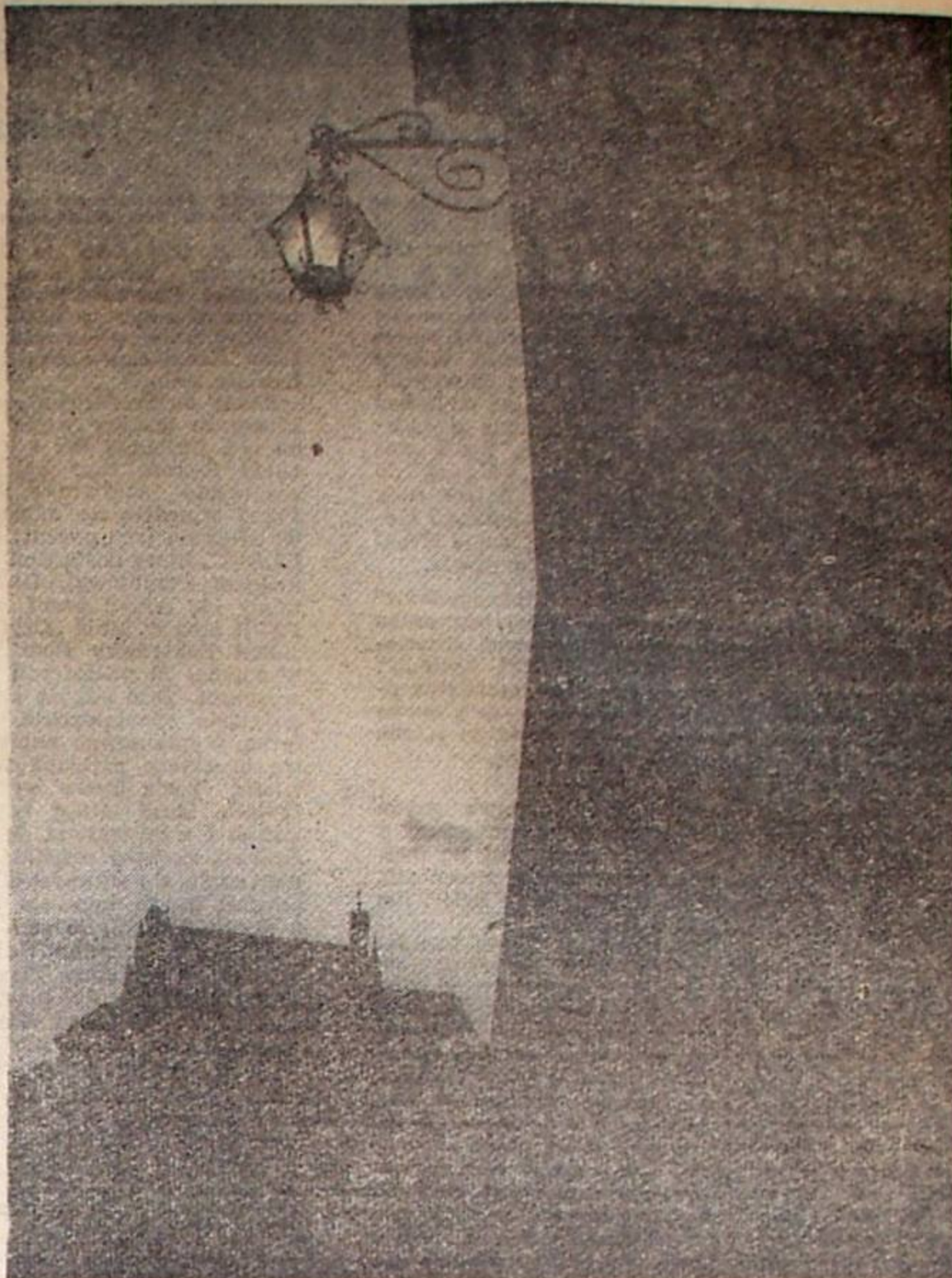
Pałac(yk) natomiast trzyma się dobrze, bo jako ośrodek wypoczynkowy Ministerstwa Sprawiedliwości wzniesiony został dopiero przed dwoma laty i trzema miesiącami. Jest to nie-

wielki kubaturowo, piętrowy bungalow, mogący pomieścić bodaj 30 osób w pokojach utrzymanych w stylizację warszawsko-wieśniaczej (dużo drewna w zakrętach plus glazura spajana smołą w łazienkach).

Sprawiedliwość czuwa nad ruderą, zakazując (tablica) biwakowania i parkowania pojazdów w jej pobliżu. Tymczasem trwają towarzyskie kontrowersje wokół kosztów, jakie należałoby ponieść dla ratowania willi, której aktualny właściciel przebywa we Francji.

W takiej scenerii toczyły się obrady Zjazdu Towarzystw Regionalnych Ziemi Lubelskiej, uznanego oficjalnie za drugi z kolei, choć podobne spotkania odbywały się na terenie wielkiego jeszcze województwa w latach: 1962, 1965, 1967. Przypuszczalnie jednak zjazd przedostatni, w Nałęczowie 1971 roku, uznano za szczególnie ważny i od niego właśnie zaczęto liczyć historię sprawy. Ale jeśli był on rzeczywiście tak ważki, to dlaczego poskąpiono uczestnikom obecnego spotkania informacji na temat realizacji wniosków, które uchwalono w Pałacu Malachowskich 11 lat temu? Wypełniając tę lukę programową, odpowiadam, jako jeden z ideologów Nałęczowa: bo niemal wszystkie pozostały na papierze.

Dajmy przecież spokój sprawom tego rodzaju, tym bardziej, że zjazd kazimierski zorganizowano sprawnie, pokonując rozliczne trudności. Zapytajmy lepiej, dlaczego ostatnie dwa spotkania regionalistów oddziela tak znaczny dystans czasu, niewiele tylko mniejszy od tego, jaki już pochłonął remont np. zabytkowej synagogi we Włoda-



Fot. Waldemar Stępień

wie, która kiedyś wystąpi w roli muzeum? I w tym przypadku odpowiedź wydaje się prosta, bo rządy autorytarne nie sprzyjały slobodnej, spontanicznej inicjatywie obywatelskiej, manifestującej się m.in. pod postacią towarzystw regionalnych, a polityka społeczna naszych lat siedem-

dziesiątych premiowała, obiektywnie rzecz biorąc, postawy egoistyczne, jakby wbrew oficjalnej frazeologii, akcentującej idee patriotycznego altruizmu. Ustalenie stopnia demokracji nie wymaga w naszych warunkach specjalnych badań naukowych, wystarczająco czytelnie określa go bowiem li-

Kulturę oddać w ajencję?

Dokończenie ze str. 1

wyrzeczeń i zbiorowej rezygnacji może — by nie powiedzieć, że musi — przynieść negatywne skutki w sferze życia duchowego, w tym w zakresie potrzeb kulturalnych. Niebezpieczeństwa rozkładają się po równo na twórców i animatorów kultury, jak też na jej adresatów i odbiorców. Kryzys nie oszczędza tu żadnego z tych ogniw...

Zacznijmy od artystów i twórców kultury. Zaw sze narzekali na nędzne warunki wykonywania swoich zawodów, teraz jednak mają ku temu szczególne powody; przy eksplozji cen, ich honoraria pozostały w miejscu; za książkę czy koncert płaci się tak, jakby w kraju nie zdarzyło się absolutnie nic w sferze kosztów utrzymania, lub cen materiałów i narzędzi do pracy twórczej.

Pauperyzacji zawodu artysty, twórcy lub tylko odtwórcy sekunduje pauperyzacja kultury w jej sferze upowszechnieniowej — placówki i działacze kultury, zwłaszcza w tzw. terenie, żyją w ciągłej trosce o wykazanie się dodatnim bilansem swej działalności. Nowe propozycje finansowania, jeszcze nie zatwierdzone, a co ważniejsze, nie sprawdzone w praktyce, kryją wiele niewiadomych.

I wreszcie odbiorcy dóbr kultury — największa w tej sytuacji niewiadoma. Czy pozostaną nadal, przynajmniej w takim stopniu jak dotychczas, otwarci na propozycje schorowanego systemu kultury, ba — przemysłu kultury? Najbliższy sezon przyniesie szereg odpowiedzi na te pytania, lecz cudów nie można oczekiwać. Repertuary są okrojone i wyraźnie komercyjne. Książek mało i drogie. Fonografia oferuje niewiele. W kinach trwa festiwal archiwów, włącznie z zagranicznymi bublami z epoki radosnego importu. W sumie więc obraz sytuacji w kulturze, zwłaszcza zaś w popkulturze, nie jest obiecujący. Podobnie jak i w innych dziedzinach życia społeczno-gospodarczego, tak i w kulturze trzeba będzie dołożyć dużo starań, dużo czasu i ... milionów, aby przynajmniej powstrzymać regres, a potem osiągnąć stan sprzed kryzysu. Dodajmy — stan permanentnie wówczas krytykowany, bo daleki od zadowalającego.

Przyznać trzeba, że podjęto od tego czasu kilka oczekiwanych i rozsądnych decyzji ustawodawczych. Najważniejsza z nich to utworzenie Funduszu Rozwoju Kultury. Z chwilą jego uruchomienia może ustanać wreszcie dyskusja, kto i ile małożyć na tę enigmatyczną społecznie, a gospodarczo nieliczącą się dziedzinę; czy na kulturę przeznaczyć 0,80 czy 1,20 proc. dochodu narodowego. Istotne ustalenia wnosi uchwała Rady Ministrów z 30 listopada 1981 roku, pozwalająca zakładom pracy świadczyć na potrzeby kultury swojego środowiska z podziału zysku — w wysokości 13 proc.

Równie ważne wydają się prace nad ustawą o upowszechnianiu kultury oraz obowiązkach i prawach pracowników upowszechniania. Akt ten ma szansę stać się najważniejszym dokumentem legislacyjnym dla stabilizacji kadr kultury. Dotychczas bowiem trudno znaleźć zawód o równie nieokreślonym statusie, jak zawód pracownika kultury, co drastycznie ujawnia się zwłaszcza wśród kadry niższego szczebla, kadry w placówkach terenowych. W środowisku wiejskim, wedle projektu, pracownicy kultury będą zrównani w dziedzinie uprawnień z inteligencją innych zawodów: oświaty, służby zdrowia, rolnictwa. Idzie tu o prawo do mieszkania, o ryczałty, świadczenia socjalne, działki pracownicze itp.

Od marca br. podniesiono stawki dla instruktorów ruchu amatorskiego oraz płace instruktorów i pracowników w placówkach państwowych, zwa-

szcza w ośrodkach spółdzielczości mieszkaniowej. Stawki i płace były tak niskie, że skutecznie eliminowały ludzi o dobrym przygotowaniu. Obecnie włączono im rekompensaty do pensji, dodano 1000 zł i 20 proc. dodatku za 20-letni staż.

Niestety, w tych decyzjach „zapomniano” o pracownikach zakładowych domów kultury. Gdy załogi otrzymały podwyżki, ci zostali przy dotychczasowych placach. „Jeśli do końca roku — stwierdzają zgodnie pracownicy wielu ZDK — nie podwyższą nam, to trzeba się będzie rozgadywać za inną robotą!” Na razie zależy to od dobrej woli ministerstw, którym podlegają zakłady przemysłowe: wystarczy, aby do pracowników ZDK w swoich resortach zastosowały one zarządzenie Ministra Kultury z 5.IV.1982 — o podwyżkach plac pracowników kultury. Jak dotąd, nie bardzo mają na to ochotę; każdy liczy się z groszem, a wiadomo, że na kulturze oszczędza się najłatwiej i najbezpieczniej.

W projekcie ustawy o upowszechnianiu kultury przewiduje się dotacje z funduszu kultury na działalność w tych gminach, gdzie brak Gminnego Ośrodka Kultury. Obecnie sytuacja jest następująca: mocą ustawy, bodaj z 1946 roku, w każdej gminie musi być biblioteka, natomiast GOK — twór z lat znacznie późniejszych — nie musi. A skoro w gminie nie ma GOK, nie przysięga się funduszu! Wystarczy rzut oka na mapę, np. województwa lubelskiego, aby stwierdzić, że północna, południowa i wschodnia część tego obszaru, nie posiadające w sumie około 25 Gminnych Ośrodków Kultury, pozostają poza dotacją środków z funduszu. Jeszcze gorzej jest pod tym względem w ościennych województwach makroregionu.

Dość skomplikowane są propozycje budżetowe dla gminnych placówek kultury w ramach reformy. Dzielą się one na trzy pozycje: dotację przedmiotową, dotację podmiotową oraz zysk. Dotacją przedmiotową z funduszu kultury będą objęte te formy działalności GOK, które się nie samofinansują, jak np. zespoły tańca, koła zainteresowań itp. Dotacja podmiotowa to opał, światło, administracja. I wreszcie zysk: jeśli po takich zastrzykach placówka osiąga zysk, czyli dochód większy niż owe dotacje — to na następny rok otrzyma zgodę na wprowadzenie innych form działania, nawet deficytowych. Przy tak ustawionych „bodźcach” niebezpieczeństwa są oczywiste — będzie to

esebnosc, różnorodność i poziom aktywności stowarzyszeń społecznych. W latach siedemdziesiątych ten cały ruch odholowano na mieliznę, bez wyraźniejszego zresztą protestu ze strony delikwenta, znużonego już lekko rozpoczynającym się kryzysem gospodarczym. Znamienne: kiedy depresja społeczno-ekonomiczna stała się faktem oczywistym, urządzono w Olsztynie (1977) I Kongres Regionalnych Towarzystw Kultury, jakby szukając u nich pomocy w ratowaniu tego, czego nie można już było uratować. „Decyzja o zwołaniu kongresu — informowała „Gazeta Olsztyńska” — powzięta została pod wpływem uchwał VII Zjazdu PZPR, w których wiele mówi się o dalszej integracji kulturalnej społeczeństwa (...)”. Wystąpienia w dyskusjach kongresowych były piękne, ale czasami chyba mętne, skoro nie dopuszczono do głosu Wincenty Piątek, prezes Towarzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego, poprosił na piśmie o wyjaśnienie, na czym właściwie „polega praca społeczna”.

Ciężkim uderzeniem w spiót słoneczny tego ruchu okazały się także zmiany w podziale terytorialnym kraju, rozrywające na części organizm przetrzennie-kulturowe dawnych województw i powiatów, kształtowane przez dziesiątki i setki lat. Zaraz potem władze ternowe zrewidowały statuty stowarzyszeń, wprowadzając do nich zakaz działalności poza miastem — siedziabą danej organizacji. W niektórych przypadkach zezwolono na wybieżki w przestrzeń społeczną macierzystej gminy.

Narodziny nowych ośrodków wojewódzkich towarzyszyła przy tym szczególnego rodzaju euforia, ujawniająca się m.in. w zacieraniu wszelkich śladów, które mogłyby wskazywać, że np. Chełm był kiedyś Lubelski. Ten proces trwa nadal: zjazd w Kazimierzu zwołany w celu zaproszenia nań stowarzyszenia województwa białsko-podlaskiego, zamojskie reprezentowała tylko delegacja Towarzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego, występująca zresztą we własnym imieniu, nie zawiadła chełmińskie — chyba dlatego, że tamtejszym regionalistom przewodził Zenon Stachira, człowiek od lat związany z omawianym ruchem.

Absencja Białej Podlaskiej nie jest rzeczą przypadkową. Świadczy o tym wcześniej fakt niemal kompletnego zignorowania historyków lubelskich przez tamtejszych organizatorów sesji naukowej na temat dziejów Podlasia. Długą listę referatów tej konferencji zdominowały nazwiska warszawskie, choć wiadomo, że inkryminowanym

regionem najżywiej zajmowali się lublinianie, dysponujący najbogatszym zbiorem stosownych archiwaliów.

Powracając do zjazdu w Kazimierzu: wykazał on, że działalność stowarzyszeń nadal skupia się na odkrywaniu i kultywowaniu historii własnego regionu, a próby obywatelskiej interwencji w aktualną rzeczywistość społeczną są sporadyczne. Jest zatem tak, jak było na Lubelszczyźnie lat temu 15 czy 20, kiedy pierwsze kroki stawiały nasze najstarsze organizacje regionalne. Nadal też troszczą się ludzie o kulturę ludową, najbardziej może w Woli Osowińskiej, gdzie z inicjatywy Wacława Tuwalskiego, miejscowego nauczyciela (50 lat w zawodzie), powstało niedawno stowarzyszenie — fenomen: należy doń 43 spośród 1000 mieszkańców osady (podczas gdy trzydziestokrotnie większy Kraśnik zdobył się na 67 członków).

Takie opcje nie mieszczą się w model prywatnym modelu idealnym ruchu regionalnego, rozumianego jako poważna siła społeczna, zdolna na przykład doprowadzić do odwołania ze stanowiska naczelnika miasta czy gminy, który ostentacyjnie lekceważy dom kultury lub zaniedbuje budowę przedszkola. W żadnym jednak razie nie zdobyłbym się na krytyczną ocenę filohistorizmu konkretnych osób i towarzyszy, albowiem jest to działalność pożyteczna, godna szacunku, dobrowolna, bezinteresowna i niejako naturalna w środowisku ludzi starszych, a na takich właśnie opiera się ten cały ruch.

Młodzież, jak drzewie bywało, na ogół nie garnie się do pracy w towarzystwach i nad tym faktem zgodnie ubolewali uczestnicy zjazdu — poza Wacławem Tuwalskim i Zygmuntem Drewnikiem, opiekunem sekcji młodzieżowej TRH od początku jej powstania (1965!), której sensowną działalność należałoby omówić w osobnej publikacji, tak jest rozległa. Wspomnijmy tylko, że Towarzystwo Regionalne Hrubieszowskie, reprezentowane na zjeździe także przez Helenę Bojarczuk i Władysława Kossowskiego, znalazło poręczny klucz do młodych ambicji, organizując np. konkursy na prace magisterskie i maturalne, tematycznie związane z regionem lub pisane przez hrubieszowian.

Poszukiwanie młodszych pokoleń do pracy w stowarzyszeniach to kwestia ciągle otwarta i skomplikowana. Pomijając wszelkie inne uwarunkowania sprawy, chciałbym jedynie zwrócić uwagę na przepaść, jaka dzieli... wrażliwość muzyczna różnych pokoleń. Może to śmieszne, ale nie jestem pewien, czy młody fan zespołu „Maanam” lub „Budki Suflera” znalazłby płaszczyznę

porozumienia z regionalistą z Krzeszowa, który urozmaicił swoje wystąpienie w dyskusji śpiewem piosenki w stylu ludowym, opiewającej dawno królewski, płaszki, lany etc.

Uczestnicy zjazdu narzekali ponadto na zubożenie nauczycieli, którzy niemal całkowicie wycofali się z działalności społecznej i nawet — podobno — powstrzymują uczniów przed udziałem w imprezach organizowanych przez regionalistów.

Wskazywano także na trudności w pozyskaniu wydawców publikacji o tematyce tyle regionalnej, co przecież ważnej w płaszczyźnie kultury narodowej, czego przykładem monografia Nałęczowa, usychająca w 1000-stronicowym maszynopiśmie. Z wypowiedzi Heleny Babiniczowej wynikało zresztą, że towarzystwo przyjaciół uzdrowska posiada jeszcze inne materiały, warte druku, a ja w to wierzę, ponieważ ufam wdowie po cenionym pisarzu i publicyście.

Profesor Zygmunt Mańkowski, autor referatu „Regionalizm a historia”, zachęcał regionalistów do wyższej współpracy ze środowiskiem naukowym, które reprezentował. W podobnej intencji wystąpił docent Jan Gurba, archeolog, z zalem w głosie wspominający te czasy, kiedy meldunki o znaleziskach archeologicznych liczone na dziesiątki, jeśli nie setki rocznie. „A dziś, co? Musimy cieszyć się z pięciu czy sześciu informacji”.

Odmianą, szerszą problematykę zarysował Ryszard Lubicki, prezes Towarzystwa Przyjaciół Kazimierza, które — zdaniem referenta — próbuje interesować się właściwie wszystkim, co określa życie społeczno-gospodarcze i zabytkowy status miasta. Wydaje się jednak, że w większości przypadków kończy się na intencjach i postulatach, które na ogół nie wzruszają adresatów, czemu nierzadko trudno się dziwić.

Zjazd Towarzystw Regionalnych Ziemi Lubelskiej uchwalił wiele wniosków i postulatów, z których większość chwali się mądrością. Nauczony doświadczeniem, nie przedstawiam ich na tych łamach. Rzeczą bodaj najważniejszą wydaje mi zresztą sam fakt spotkania się w Kazimierzu licznych przedstawicieli tego ruchu, którzy wreszcie, po 11 latach przerwy, mieli okazję odnowić znajomości, poznać się, porozmawiać i usłyszeć, że władze znów doceniają działalność stowarzyszeń regionalnych...

P.S. W Kazimierzu mówiono także o zabytkach — z troską i w próżnię, albowiem na zjeździe zabrakło choćby wojewódzkiego konserwatora, a miejscowego nie raczono nawet zaprosić na Albrechtówkę!

Literatura na wystawie



Fot. Waldemar Stępień

W Muzeum im. Józefa Czechowicza otwarto wystawę „50 lat życia literackiego Lubelszczyzny” (liczonego od założenia oddziału Związku Literatów Polskich). Zgromadzone na niej afisze zapowiadające wieczory autorskie, wycinki z gazet, książki oraz fotografie lubelskich pisarzy i poetów. Szczególnie udokumentowano początki organizowania ruchu literackiego, skoncentrowane wokół czechowiczowskiego „Reflektora” i „Kamena”, odnotowano pobyt Czesława Miłosa, śmierć Marii Bechczyz-Rudnickiej oraz działalność środowiska młodoliterackiego. Wystawa czynna będzie cały rok ... żeby mogli obejrzeć ją wszyscy uczniowie Lubelszczyzny.

(B)

pogoń za imprezami kasowymi, pogoń za łatwą, jakiej dyskoteki, masowe ubawy itd. Tu również czas pokaże, jaki obrót przybierze sprawa samofinansowania w tych placówkach. Dla ciekawości: do Wydziału Kultury i Sztuki UW w Lublinie zgłosiło się już dwóch chętnych do przejęcia w ajencję ... domów kultury z ich kadrami i sprzętem. Zapewniają, że odprowadzą do kasy Wydziału niezły zysk i sami przy tym zarobią!

Odwrotnie postąpił PGK w Przytoczynie: przełał na konto WDK 100 tys. zł w zamian za całoroczną organizację życia kulturalnego na terenie gminy Jeziorzany. Po prostu oddał forszę i sprawę w fachowe ręce i, jak dotąd, obie strony są zadowolone z tej transakcji.

A w ogóle wieś i ośrodki gminne to nadal najważniejsze, a przy tym najtrudniejsze, bo najmniej ognia kultury. Tam sprawdza się wszystko — i nowe decyzje, stan funduszy i kadry, potrzeby w zakresie kultury; ogląda błędy i sukcesy, poznaje rozmiary zaniedbań.

Tam, w wiejskich ośrodkach kultury, nowy sezon nie zapowiada się rewelacyjnie. Sytuacja jak za dawnych lat — brak oddanych sprawie pracowników, zwłaszcza do klubów „Ruchu” i „Rolnika”, zaniedbania w zakresie remontów, niejasne perspektywy w tak prozaicznych sprawach, jak np. opał dla klubu. Sprawa ma szerszy kontekst: idzie tu o znalezienie lepszej, jeśli już nie doskonałej, formy przedstawicielstwa kultury w najdalej „w lud” wysuniętych przyczółkach. Wszyscy od lat zgodnie stwierdzają, że kluby „Ruchu”, a zwłaszcza kluby „Rolnika” to archaiczne i mało przydatne ognio między kulturą metropolii, jej teatrami, kinami i pięknymi salami koncertowymi, a potrzebami gmin, małych miasteczek i wsi. A ponieważ niczym innym, jak dotąd klubów nie daje się zastąpić, to u progu każdego nowego sezonu przynajmniej lata się dziury (m.in. w dachach), poprawia piece, molestuje naczelników i prezesów GS o lepsze baczenie na potrzeby klubów. I na tym koniec. W Lubelskiem taki rezydent odbył się już wiosną ub. roku. Istniejąca 18 lat Wojewódzka Rada Klubów określiła potrzeby każdej placówki, zebrała informacje o środowiskach, w których one działają. W ślad za tym zorganizowano dwie narady z udziałem władz wojewódzkich oraz naczelników i prezesów GS.

I co? I nic. Zapytanie życie klubów potoczyło się dalej — jako raczej wiejskich punktów sprzedaży, niż placówek kultury. Przeglądy odkryły

tylko kilka prawd — warunków, które muszą się zjeść i spełnić, żeby klub zaczął działać, co znaczy na wsi. Oto one: poczciwy lokal, w miarę oddana sprawie klubowa, nieobojętność naczelnika i prezesa GS, a wreszcie pomoc paru osób z miejscowej inteligencji, nauczycieli zwłaszcza. Też z bieżącym sezonem za główny kierunek ożywienia wiejskich klubów w województwie lubelskim przyjęto potrzebę aktywizacji miejscowej inteligencji, wylawiania ludzi o zacięciu społecznym, inspirowanie inicjatywy na rzecz ruchu regionalistycznego. Idzie opanie. Wprawdzie minister oświaty zapewnia, że szkoła ma spełniać funkcje „środowiskowe”, to jednak nauczyciele nie garną się do ruchu społecznego. Gdzie te czasy, z lat 60-tych, gdy zakładali zespoły, chóry, inspirowali czynny społeczny, urządzali prelekcje, wycieczki? Te czasy minęły — coś się załamało, skończyło w tym ruchu. Pozostały tylko personalne wyjątki, tylko chwalebne przykłady: dyrektorka szkoły zbiorczej w Puchaczowie, pani M. Skibowa; Jan Jargiello z Trawnika; starsi nauczyciele ze szkoły w Strzeszkowicach. I jeszcze: Tomasz Kasperski z Belżyce, Roman Kornacki — ostatni żyjący współzałożyciel oraz aktualny prezes Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Lubartowskiej, czy Wacław Tuwalski — prezes Tow. Przyjaciół Woli Osowińskiej, jedynego w swym rodzaju związku przyjaciół wsi rodzinnej. Ci ostatni, to wyłącznie emeryci! Coś się więc skończyło, coś zatrzasnęło za pokoleniem dawnych społeczników. Zarówno działacze ze starej generacji, jak też zawodowi pracownicy kultury różnych szczebli zgodnie przyznają, że choćbyśmy zbudowali na prowincji prawdziwe pałace kultury, to i tak niewiele się poprawi, jeśli miejscowa inteligencja, a wraz z nią większość mieszkańców, w tym zwłaszcza młodzież, nie odczuja potrzeby działania, integracji wysiłków, choćby tylko na zasadzie łączności koleżeńsko-towarzystwej. Krzykliwy łomot w klubowej dyskotece to tylko pozory takich potrzeb.

Dlatego tak dużo uwagi poświęca się ostatnio inicjatywom regionalnym, powstawaniu przeróżnych towarzystw miłośników czy przyjaciół miejscowości. Trwają właśnie przygotowania do powołania takich stowarzyszeń w Piaskach, Gołębju, Końskowoli, Markuszowie, Kurowie i Glusku.

W bieżącym sezonie wojewódzka sieć placówek kultury wzbogaci się o piękny Dom Chemika w Puławach. Dzieje tej inwestycji sięgają już kil-

kunastu lat. Budowany tak długo przez Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego i wielu innych tzw. podwykonawców, bulwersował mieszkańców Puław nie tylko ślimaczym tempem materializacji, ale również, w miarę przybywania murów, swoim rozmachem. Miał to być, w pierwotnym zamiarze, Zakładowy Dom Kultury „Azotów”. Pod koniec budowy fabryka stwierdziła, że lepiej się stanie, jeśli tak duży obiekt przekaże miastu. I tak się stało. Dom Chemika będzie puławskim — bo nie tylko miejskim — ośrodkiem kultury, sprawującym merytoryczną opiekę nad odpowiednimi placówkami w całym okolicznym regionie, stanowiącym zresztą najbardziej aktywną kulturalnie enklawę Lubelszczyzny.

Nadanie Domowi Chemika tej rangi postawiło pod znakiem zapytania potrzebę istnienia trzech dotychczasowych domów kultury w Puławach: miejskiego, młodzieżowego oraz zakładowego. Te trzy placówki ulegną likwidacji, bo nowy obiekt bez trudu przejmie ich zadania; formalne mnożenie instytucji nie dobrego kulturze nie daje. Warto przy tym wiedzieć, że w budynku byłego MDK otwarta zostanie szkoła muzyczna, która nie mogła dotąd stać się faktem realnym właśnie z braku lokalu. Z kadry zamykanych jednostek, liczącej około 70 osób, zostanie skompletowana obsada Puławskiego Ośrodka Kultury. Fundusz na działalność pochodzić będzie z dotacji Urzędu Wojewódzkiego oraz z 13-procentowego podatku z podziału zysku puławskich „Azotów”.

Baza lokalowa kultury województwa wzbogaci się ponadto o Ośrodek Doskonalenia Kadry górniczych w Łęcznej. Z potrzebami w zakresie doskonalenia tych kadr na Lubelszczyźnie zrobiło się, jak na razie, trochę „luźniej”, toteż dyrekcja LZW postanowiła przekazać obiekt na kilka lat na użytek kultury miasta. „Na kilka lat” — mówi się w porozumieniu między władzami miasta i dyrekcją zagłębia, lecz może się zdarzyć i tak, że budynek na dłużej lub na stałe „przechylnie” do kultury, bo przecież w niedalekiej przyszłości potrzeby kulturalne górników lubelskich i innych mieszkańców trzeba będzie traktować jako wspólne.

Henryk Pająk

KARAWANA przebyła więcej niż połowę drogi, pojutrze pod wieczór będą na miejscu, ale Kejik już się nie mogła doczekać całe sześć miesięcy nie widziała Jurdamana!

Kiedy pół roku temu z taką samą karawaną Kejik jechała z domu męża do rodziców, nawet jej do głowy nie przychodziło, że będzie tak tęsknić za Jurdamanem; spędził z sobą przecież zaledwie miesiąc, przedtem prawie go nie znała, słyszała tylko, że jest świetnym muzykiem.

Pół roku temu przesuwali się przed jej oczami te same barchany¹, osiem tych samych studni, ale była wtedy zima i na barchanach leżał śnieg, teraz zaś jest lato, czerwiec... Kto też wymyślił taki obyczaj, żeby koniecznie wracać do rodziców. Mogła przecież te pół roku spędzić z Jurdamanem. Pierwszy miesiąc upłynął tak szybko, nawet się nie spostrzegła. No cóż, trudno. Dzień dzisiejszy już się nie liczy, pozostał jeszcze jeden. I, co prawda, dwie noce, ale za to trzecią noc prześpi już w swojej ładnej, białej kibitce. Prześpi... Kejik uśmiechnęła się, zarumienila i spojrzała na teścia, jakby ten mógł czytać w jej myślach.

Ciekawe, czy Ankar-aga był w młodości podobny do Jurdamana? Raczej nie. Nawet wtedy musiał być pewnie powolny, z wyglądu rozważny i surowy. Jak Pasza, który całkowicie wdał się w ojca. Nie, Jurdaman jest zupełnie inny. Delikatny, czuły, dobry... Ojciec rozgniewał się kiedyś na niego zauważwszy, że chłopiec zdrzemnął się w biały dzień z głową na jej ramieniu. Śmieszny jest, czyż nie rozumie, że ją i Jurdamana łączy szczególne uczucie, że nigdy dotąd dwoje nie kochało się tak jak oni. Czyż inny pozwoliłby żonie śpiewać? A Kejik śpiewała. Owe ostatniej nocy przed rozłąką zanuciła cichutko smutną, dziewczęcą piosenkę. I Jurdaman się nie rozgniewał, nie skrzywił jej. Wziął dutar² i uderzył w struny dobierając melodię. Umówili się, że kiedy Kejik wróci, pójdą od razu za duży barchan za ich namiotem, Kejik będzie śpiewać, a Jurdaman — grać na dutarze.

Niebo było takie błękitne jak zasłona okrywająca Kejik, słońce piekło niemiłosiernie. Młoda kobieta kołysała się w weselnym palankinie, umocowanym na grzbiecie białej wielbłądzicy, i myślała, myślała... Nigdy więcej nie rozstanie się z mężem. Do swoich rodziców będzie tylko pisać listy, a niedługo już matka z bratową przyjadą do niej w odwiedziny. Wiosną taka sama wielbłądzica przywiezie do Uczojuka jej siostrę, którą Ankar-aga upatrzył na żonę dla Nokera. To brat Jurdamana, bardzo miły chłopak. Ich białe kibitki będą wtedy stać obok siebie...

Jak powoli stąpa ta wielbłądzica! Czyż się jej też nie przykrzy!

W południe karawana zatrzymała się przy dużym barchanie porośniętym saksaul³. Zmęczone wielbłądy pokłękaly. Zdjęto z nich ładunek; worki z pszenicą stały teraz nie opodal podpierając się wzajem, niczym silacze gotowi do zapasów.

Kobiety rozesały na piasku maty i położyły się wokół Kejik, a mężczyźni — koło tobołów. Siwobrody starzec, który prowadził karawanę, spojrzał z ukosa na kobiety, zdjął swoją czarną papaczkę i powiesił ją na krzaku. Wyjął chustkę, wytarł pot z czoła i pogładził brodę. Potem kaszlnął. Tęga kobieta w białej chustce, krzątająca się przy Kejik, odwróciła się od razu:

— Czy ojcu czegoś trzeba?

Stary potrząsnął przecząco głową.

Więc dlaczego właściwie kaszlnął? Czy jest w dobrym humorze? Stoł z rękoma założonymi do tyłu i spogląda dumnie na wszystkich. Ma się czym szcycić: wszystko to należy do niego, do Ankar-agi: i wielbłądy, i ludzie. Oto jego żona,

jego starszy syn Pasza, który liczy sobie trzydzieści cztery lata i już od piętnastu jest nauczycielem. Zona Paszy też tu jest. Dla drugiego syna Ankar-aga wiezie właśnie żonę. W domu czekają dwaj synowie i córka Kejker. Obok kibitki Ankar-agi stoją już dwie białe kibitki, a wiosną pojawią się trzecia...

Herbata się zagotowała i starsza synowa zaczęła ją roznosić mężczyznom. Przede wszystkim postawiła przed teściem duży imbryk i wytarłszy cztery pijalki, wręczyła je staremu. Wręczyła, nie postawiła; Ankar-aga odchrząknął z zadowoleniem

Kejik wraca do Jurdamana

Berdynazar Mudajazarow

i z ważną miną wziął naczynia z jej rąk. Chwała Bogu, pomyślał Pasza, który przyglądał się ojcu, dogodzić mu niełatwo. Pasza przypomniał sobie, jak wkrótce po jego weselu Bibigiul, na znak szczególnego szacunku dla teścia, nalała mu sama herbatę do pijalki, ale stary wylał napój, jak tylko synowa wyszła: „Na razie, chwała Bogu, mogę sam sobie nalać herbaty!” Teraz rodzicom będzie usługiwać nowa synowa i w razie czego rumienić się będzie nie on, lecz Jurdaman. A będzie się czerwienić na pewno, bo jeśli Bibigiul, z kulturalnego domu, nauczycielka, nie zawsze potrafi teściowi dogodzić, więc co dopiero Kejik, córka zwykłego kolchoźnika. Zresztą, może chłop chłopą prędzej zrozumie. W każdym razie młodsza synowa nie odważy się ust otworzyć w obecności ojca. A Bibigiul rozmawia z nim, wcale się nie krepując, mimo że wie, jak bardzo to staremu nie w smak. Może się zresztą przyzwyczail i nie zwraca uwagi? Przecież w gruncie rzeczy nie jest znów tak bardzo przywiązany do starych tradycji.

Kiedy upał przestał już doskwierać, karawana ruszyła w drogę. Pusto było dokoła, same tylko barchany i barchany... Przedwczoraj spotkali czabana, który szukał zbłąkanych owiec, i tyle. Gdzie się zaczyna ten szlak i gdzie się kończy — nie wiadomo. I czy w ogóle mają te piaski swój kres? No cóż, nie to, wszystko będzie dobrze, karawana dotrze jutro do Uczojuka.

Jak się przywitają? Co Kejik powie Jurdamanowi? Powiedzieć mu, że śnił się jej niemal co noc? Trzeba mu powiedzieć, wiele ale przecież niejedno będzie musiała przemilczeć. Nie powinien się na przykład domyśleć Jurdaman, jakich rad udzielała jej matka na pożegnanie, jak jej tłumaczyła, że Kejik powinna być przebiegła, męża trzymać krótko, a rzeczywiście dogadzać tylko teściowej. Matka Kejik od razu zauważyła, że żona Ankar-agi jest we wszystkim posłuszna mężowi, a więc, jeżeli stary będzie z synowej zadowolony, świekra nie odważy się zrobić jej krzywdy. Jurdamana powinna Kejik buntować przeciwko matce, bo a nuż zaczną się kłótnie między nią i teściową, wtedy mąż stanie po stronie żony. „Nie rozpieszczaj męża, bo jak go rozpieszczysz, gorzko pożałujesz!” Łatwo matce mówić — nie rozpieszczaj! A jeżeli Kejik chce zrobić dla niego wszystko, oddać mu wszystko na świecie! Kiedy on spojrzy na nią swoimi czarnymi oczami, od razu brak jej sił, wprost ziemia osuwa się Kejik spod nóg. „Trzymaj go krótko!” Nie, tego już chyba Kejik nie potrafi.

Kiedy przebywszy takry⁴ weszli na wysoki barchan, słońce już zachodziło. Ankar-aga przystanął wpatrując się w dal. W słoneczny dzień z tego barchanu widać kibitki Sinrenli, ale teraz nie sposób było dostrzec cokolwiek. Wtem stary zobaczył w dali jakiś punkt: chyba jeździec. Najpewniej czaban z Sinrenli.

Karawana znowu ruszyła. Teraz widać już było wyraźnie jeźdźca na białym koniu. Patrzy na zbliżającą się karawanę nie ruszając się z miejsca. Wtem koń zarżał.

— Noker?! — wykrzyknął stary.

Wszyscy, prócz siedzącej w palankinie Kejik, pobiegli w stronę jeźdźcy. Twarz miał szarą, kosmatą, czarna czapka nasunięta była do samych brwi. Milczał. Dopiero kiedy Ankar-aga zapytał, czy wszystko jest w porządku, Noker wyrzekł:

— Wojna!

Przez cały dzień było duszno, ale teraz wiał lekki wiatr, który doniósł do uszu Kejik to krótkie słowo. Palankin zakotłosał się, jakby wielbłądzica się potknęła.

— Wczoraj o świcie napadli. Z rana Jelly rozniósł wezwania, Jurdaman poszedł...

Kejik pociemniało w oczach. Głucho, jakby dolatujące z głębokiej studni, brzmiały w jej uszach słowa:

— A ty? Ty nie dostałeś wezwania?

— Dostałem. Chciałem...

— Czego?!

— Poczekać na was. Pożegnać się.

Zaległo milczenie. Kejik wyrzuciła z palankinu i zobaczyła, jak teść podbiegł do Nokera i wyrwał mu z rąk nahajkę.

— Złaż! Oddaj konia! Dawaj wezwania! Jeżeli mój syn!... Sam pójde na wojnę! Złaż...

Nie odrywając od ojca wzroku, Noker powoli zsuwał się z siodła.

— Pasza! Jeżeli jesteś synem Ankar-baja, siadaj na konia! Niech ci pomaga twój rączy koń i krzywa szabla naszych przodków! Przysięgnij! Przysięgnij! Na zachodzące słońce, że nie ściągniesz hańby na siwe włosy swego ojca! Bierz konia! Niechaj Allah ma cię w swej opiece, synku!

Noker patrzył w milczeniu, jak brat dosiada konia. Stał przez chwilę jak skamieniały. Dopiero kiedy Pasza podniósł nahajkę, Noker rzucił się z krzykiem w stronę brata.

Przełożyła Maria Dolińska

¹ Barchan — tu: wydma piaszczysta w kształcie półksiężyca.

² Dutar — strunowy instrument szarpany.

³ Saksaul — małe drzewo lub krzew.

⁴ Takry — płaska pustynia ilasta pokryta spękana w wieloboki twardą warstwą ilu.

Jest to początek powieści turkmeńskiego pisarza Berdynazara Mudajazarowa pt. „Ludzie piasków”, która w redakcji Jadwigi Białowas ukaże się w przyszłym roku nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

Proza

Walentina Rasputina

Jan Orłowski

NAZWISKO Walentina Rasputina jest dość dobrze znane czytelnikom współczesnej prozy radzieckiej. W przekładzie polskim wydano w minionym dziesięcioleciu trzy jego powieści: *W ostatnią godzinę*, *Zyj i pamiętaj* oraz *Pożegnanie z Matiorą* (dwa ostatnie tytuły miały po dwa wydania w rocznym odstępie czasowym).

Rasputin urodził się w roku 1937 w miejscowości Ust-Uda koło Irkucka, należy więc do średniego pokolenia pisarzy. Studia ukończył w roku 1959 na wydziale historyczno-filologicznym Uniwersytetu Irkuckiego, działalność literacką, do której drogę torowała mu współpraca z redakcjami gazet w Irkucku i Krasnojarsku, rozpoczął w 1961 roku. W latach sześćdziesiątych opublikował kilka zbiorów szkiców i opowiadań (*Kraj pod samym niebem*,

Człowiek z tego świata), przechodząc następnie do większych form prozatorskich, którym początek dała głośna opowieść *Pieniądze dla Marii* (1968).

Walentin Rasputin związał swe życie i twórczość z Syberią. Zaliczony jest do nurtu tak zwanej „prozy wiejskiej”, reprezentowanej we współczesnej literaturze rosyjskiej przez takich pisarzy jak Wasyli Bielow, Fiodor Abramow, Wiktor Astafiew, Wil Lipatow, zmarły kilka lat temu Wasyli Szukszyn i inni. W pierwszych utworach pisarz opiewał romantykę tajgi syberyjskiej, poetyzował silne charaktery mieszkających w niej ludzi, ukazywał ich tajemniczy i nierozzerwany związek z przyrodą i jej odwiecznymi prawami. Zarzucana Rasputinowi przez krytyków fascynacja leśnymi ostępami nie trwała jednak długo. Już w niektórych wczesnych opowiadaniach (*Ech, staruszko*, *I dziesięć mogił w tajdze*, *Spotkanie*, *Wasyli i Wasylisa*) ujawnia się zainteresowanie pisarza wewnętrznym światem człowieka i przeżyciami kształtującymi jego charakter i sto-

sunek do innych ludzi. Znamienne i znaczące dla tych poszukiwań artystycznych pisarza są zwłaszcza dwa ostatnie z wymienionych opowiadań.

Spotkanie jest krótką opowieścią o dwojgu ludziach — Annie i Mikołaju, których los zetknął przypadkowo po trzydziestu latach. Anna opowiada o sobie i poległym na froncie umiłowanemu mężu Iwanie, który żyje w jej pamięci jako człowiek bez skazy. Mikołaj nieostrożnie wspominając męskie przysięgi swego przyjaciela Iwana, zburzył coś bardzo drogiego, co było w ciężkim życiu Anny moralną ostoją i źródłem jasných wspomnień.

Prawie każdy utwór Rasputina to psychologiczne studium silnych kobiecych charakterów, które wyrosły na podglebiu tradycyjnej ludowej mądrości i ludowych pojęć moralnych. Taki właśnie charakter posiada bohaterka wspomnianego opowiadania *Wasyli i Wasylisa*. Przez trzydzieści lat nie dopuszcza ona męża do siebie, nie mogąc mu przebaczyć pijackiej awantury i uderzenia, które doprowadziło do poronienia jej ósmego dziecka. Łzy przebaczenia okaże ona umierającemu mężowi dopiero po trzydziestu latach.

Szerszy rozgłos literacki przyniosła jednak Rasputinowi dopiero opowieść *Pieniądze dla Marii*, która wraz z całym bogactwem charakterów, oświetlonych i wypróbowanych poprzez liczne przykłady różnych zachowań ludzi w krytycznej sytuacji, stanowi swoiste studium obyczajowe współczesnej wsi radzieckiej. Bohaterce opowieści, Marii prowadzącej wiejski sklep, przytrafia

się przykra sprawa: w rachunku wykryto niedobór tysiąca rubli, wynikły nie z jej nieuczciwości, lecz z niedopatrzania i braku umiejętności na nowym stanowisku pracy. Jeśli nie wyrówna straty, grozi jej rozprawa sądowa. Jej mąż Kuźma postanawia zwrócić się o pomoc do wsi (wszak dla wygody jej mieszkańców Maria podjęła się prowadzenia sklepu), prosząc kolejno poszczególnych współmieszkańców o pożyczkę. W ich reakcjach i rozmowach ujawniają się różnorodne charaktery i postawy od współczucia i chęci pomocy do obojętności, wyrachowania, obłudy i egoizmu. Zyciowości okazują Kuźmie i Marii jedynie ubogli dziadek Gordej i stara ciotka Natalia, która oddaje im pieniądze zaoszczędzone na okazały własny pogrzeb. Wrażliwość na cudze kłopoty i krzywdy przejawiają tu więc jedynie starzy, prości ludzie, którzy nie wyzbyli się jeszcze dawnej patriarchalnej obyczajowości. Natomiast próżno by szukać tych cech u przedstawicieli młodej generacji, zwłaszcza wiejskiej inteligencji.

Pisarz wyciągnął na światło dzienne bardzo istotny problem, jakim jest dezintegracja tradycyjnej społeczności wiejskiej w warunkach postępu cywilizacji materialno-technicznej i zanik pozytywnych wartości etosu chiłopskiego, na który składa się przede wszystkim solidarność w nieszczęściu, gotowość do wszelkich form zbiorowej samopomocy, otwartość wobec ludzi. Ta problematyka moralna znajduje dalsze rozwinięcie w późniejszej twórczości pisarza.

Znana w przekładzie polskim powieść Rasputina *W ostatnią godzinę* (1970) wywołała w ojczyźnie pisarza

Poezja litewska

O, nie pytaj oczyma, czy boli,
O czym myślę i roję w tej chwili.
U nóg moich leż, druchu kochany.
Myślimy bitwą rycerską stoczyli.

Vytautas Sirijos Gira
z cyklu: Wiersze polskie

MATKA

Biedaczko, przypomniałem ci syna
I od lez się zanosiłaś w przedziale.
Syn pod Kutnem w ataku zginął,
Żyjesz tylko wspomnieniem i żalem.

Glaskałaś mnie dłońmi spierzchniętymi,
Niby matka dziecko... Strzelano.
Nalot... bomby... furie piekieł na ziemi...
I nie mogłem cię uspokoić, mamo.

Eduardas Mieželaitis

PSI LAMENT

Spij spokojnie, piesku, u nóg pana.
Przegraliśmy sromotnie kampanię
Z nowiem srogim. Śnił mi się od rana
Biały labędź, maja zakwitanie.

O, jak boli serce rozdrapanie!
Szczęście nas jak bóstwo okłamało.
Słyszysz tylko twój biedny psi lament —
Księżyc-bufon i ta klonu gałąź.

Wywodziły nam gwiazdy złe losy,
Postawiły horoskop jesienny.
Już nie przyjdzie nasza jasnowłosa
W białej chustce Izolda promienna.

I przy klonie nie będzie nas czekać,
I nie będzie dla nas nowych wiosen.
Porzuciła tu psa i człowieka,
Byś w jesienną noc wyl wniebogłosem.

Skaczesz z żalu, mój piesku kochany,
Wprost na szyć, jak w pędzie dziewczyna.
Obydwoje wzgardzeni, olgani —
Przytulimy się do pnia wierzby.

Eduardas Mieželaitis

PO ŚLADACH MICKIEWICZA

—Drzewa, co Girstupisu wód strzegą w parowie,
szepczą późną jesienią, w szarugi bogatą:
Litwo, ojczyzno moja, Ty jesteś jak zdrowie! —
Lietuva, tu man atitoji sveikatą!

Liście na dębach żółkną i z wolna na deszczu
spadają jak godziny, dzień po dniu, tygodnie,
jak miesiące, jak lata — to luty czas, Wieszczu,
Girstupis, dęby, glazy zmienia niezawodnie.

Wysycha Girstupisu ujście za dębrową,
dąb pęka, choć tak twardy, i wietrzeje granit...
lecz uchodzi mocniejsze od kamienia słowo,
gdyż największych poetów słowa czas nie raní.

Na strugę Girstupisu wciąż spada listowie
taką późną jesienią, w szarugi bogatą...
Litwo, ojczyzno moja, Ty jesteś jak zdrowie! —
Lietuva, tu man atitoji sveikatą!
Kovno, w Dolinie Mickiewicza.

• W oryginale po polsku.

Juozas Macevicius

Jak co roku
odwiedzam dom rodzinny.
Jak co roku
postoję przy grobie ojca.
Jak co roku
niewiele mi co pozostaje —
wrócić do chaty,
zdjąć ze ściany zakurzoną broń,
wyczyścić pakietami łufę
i wpatrując się w lśniącą dal
jak co roku
sprawdzić siebie.
Niewiele mi już co pozostaje.

Przełożył: Tadeusz Chrościelewski

Poezja białoruska

Maksim Tank

MASKA

W muzeum — maska poety,
Skamieniała.
Obojętna na wszystko.
Rozbijcie ją lub schowajcie!
Czyż nie wiecie,
Ze gdyby on był taki,
Z pewnością żyłby jeszcze.

W szpitalu się sprawdza,
Ile człowiek ma hemoglobiny, Ile leukocytów...
A w moich żyłach — roztopiona lawa piekła,
I doktorzy nie wiedzą, jak leczyć,
I dziwią się, że jeszcze żyje.

Za pocałunki i za oczy,
za ogień, który w nich się żarzy,
za kibić wiotką i uroczą
o, Mary, każdy cię spotwarza,

kto nienawidzi słońca lśnienia
i nad kołyską gwiazd mrugania,
kto się ukrywa w mrocznym cieniu,
by grzeszne modły tam odmawiać...

Kędziorów zgarnij gąszcz rękami,
a od twych oczu jasnych zorzy
umilknie każdy niby kamień
i na kolanach się ukorzy.

Od nieba do ziemi rękę podać,
Od radości blisko do smutku,
Od skowronka — do jego gniazda,
A od struny skrzypcowej do smyczka,
Od grona winnego — do wina,
Od ziarna dojrzałego do żytanego chleba...

Ale czemu — nie mogę zrozumieć —
Tak daleko mi do serca twego?

Przełożył: Kazimierz A. Jaworski

ożywioną dyskusję na temat moralnych postaw ludzi w obecnej dobie. Prosta, prawie banalna sytuacja fabularna pozwoliła jednak pisarzowi zawrzeć w tej powieści duże bogactwo trafnych obserwacji obyczajowych, które dają obfity materiał do głębokiej refleksji na tematy moralne.

Oto krótki ciąg zdarzeń w powieści: wcześniej owdowiała osiemdziesięcioletnia wiejska staruszka Annusza, która w ciężkim trudzie i wśród wielu wyrzeczeń wychowała bez męża pięcioro dzieci, dożyła ostatnich chwil żywota. Z różnych miast zjechali się córki i syn, aby ją pożegnać. Najmłodsza ulubiona córka matki nie zjawiała się jednak. Wszyscy przyjechali na pogrzeb, a staruszka wciąż żyje, nie tal swej radości, że może widzieć swe dzieci razem. Rodzeństwo jest zakłopotane, zubożnięte, niektórym brak taktu wobec umierającej matki. Dwaj synowie, nie mogąc się doczekać stypy, wypijają przygotowaną wcześniej na tę okazję wódkę. Wreszcie wszyscy rozjeżdżają się na kilka godzin przed śmiercią matki, która do końca swych dni zachowała mądrość, pogodę ducha, dobroć wyrozumiałość i umiłowanie dzieci.

W tej powszedniości opisanej sytuacji Rasputin dostrzega pewien uniwersalizm problematyki moralno-obyczajowej w społeczeństwach, w których dokonują się głębokie przeobrażenia rozwojowe i zanikają dawne układy społeczne. Stajemy tu znów oko w oko z ujawnionym wcześniej zjawiskiem moralnej degradacji jednostek wyrwanych z tradycyjnego środowiska, w którym obowiązywały odmienne wzorce zachowań i normy postępowania.

Ulubionymi postaciami w bogatej

galerii literackich bohaterów Rasputina są najczęściej stare, wiejskie kobiety, zahartowane w ciągłych trudach życia, przywiązane do ogniska domowego, zachowujące szlachetność serca i życiową mądrość wynikającą z wiekowego doświadczenia wspólnoty chłopskiej. Annusza z powieści *W ostatnią godzinę* nie jest pierwszą ani ostatnią przedstawicielką tego typu Rasputinowskiej bohaterki.

Rasputin rzadko sięga w swej twórczości do tematyki wojennej. Jednakże wojna, jako niezwykle ważny epizod w życiu jego bohaterów, wyciska na nich swe piętno, stanowi ciężką próbę charakteru.

Na kanwie zdarzeń z czasów wojny osnuta jest powieść *Zyj i pamiętaj* (1973). Główny trzon fabularny stanowi w niej jednak nie sceny batalistyczne, lecz moralne perypetie osób, które znajdują się daleko od frontu. Pierwszoplanową postacią wydaje się tu Andrzej Guskow, który po trzech latach udziału w walkach i po wyjściu ze szpitala postanawia zdezerterować z armii i wrócić do żony i domu. Do tego kroku popycha go przywiązanie do rodziny i tęsknota do umiłowanej, codziennej pracy gospodarskiej. Andrzej ukrywa się w tajdze. O jego ucieczce wie tylko żona Nastiona, której udziałem staje się najcięższy dramat powieści. Dręczy ją strach przed potępieniem i odpowiedzialnością za ukrywanie dezertera, a przede wszystkim wstyd i hańba wobec rodziny mę-

żą z powodu niesłusznych podejrzeń o niewierność, kiedy okazuje się, że oczekuje dziecka. Ten dramat bez wyjścia kończy się jej śmiercią, gdyż ujawnienie prawdy o ojcostwie oznaczałoby zdemaskowanie męża i wydanie go pod sąd wojenny.

Zasadniczą cechą pisarstwa Rasputina — zainteresowanie moralnym potencjałem jednostki i jego realizacją w obliczu sytuacji krańcowych — znalazła w tej powieści nowe, oryginalne i niezwykle dramatyczne w swym wyrazie wcielenie artystyczne.

Wydarzeniem literackim dużej miary była w ZSRR najbardziej dzisiaj znana powieść Rasputina *Pożegnanie z Mattorą* (1976). Mattora to wieś i wyspa o tej samej nazwie w rozlewisku potężnej rzeki Angary. W świetnych scenach obyczajowych pisarz przedstawił tu przeżycia starych ludzi, głównie kobiet, które dowiadują się, że ich wieś zostanie zatopiona przez spiętrzone wody Angary, po wybudowaniu na niej potężnej zapory i siłowni. Muszą więc opuścić stare domostwa, zostawić groby swych bliskich na cmentarzu, który też zostanie zalany, pożegnać się z czystym powietrzem, przestrzenią, swymi przyzwyczajeniami i przenieść się do ciasnych mieszkań w miejskich lub sowchozowych osiedlach, gdzie człowiek czuje się jak w klatce. „Któż to stare drzewo przesadza?” — pyta wiekowa Nastasia przed nieuchronną przeprowadzką. Niezrównana w swym kolorycie lokalnym i obyczajowym jest tu scena na cmentarzu, skąd starzy

mieszkańcy wioski przepędzają „Herodów”, czyli przybyłą ekipę sanitarną, która równa z ziemią mogiły i zwala na stos nagrobne krzyże, aby je spalić.

Barwne postacie wiejskich „starożyłów” (niezrównany jest tu zwłaszcza starzec Bogodul), świetne sceny obyczajowe wysuwają się w tej powieści na plan pierwszy. Ale poza tą zewnętrzną kolorową tkanką etnograficzną kryją się Rasputinowskie pytania filozoficzno-społeczne, które nurtują naszą współczesność. Jaka jest moralna i społeczna cena rozwoju cywilizacji? Czy szybki postęp techniczno-gospodarczy, burzące stare struktury społeczne, ukształtowane przez wiele pokoleń, nie pociąga za sobą bezpowrotnej utraty zbyt wielu starych, a przecież cennych i głęboko humanistycznych wartości?

W dzisiejszych czasach są to pytania, które wchodzą poza zakres doświadczeń jednego narodu i jednego rejonu świata. Te problemy współczesności wytrwale drąży Rasputin, ujawnia moralne i społeczne kolizje, przed którymi stawia człowieka naszej doby postępu cywilizacji i rewolucji naukowo-technicznej. Rasputin, pisarz o wyuczonym sumieniu społecznym, zdołał nas przekonać, że i w głębi niedostępnej, syberyjskiej tajgi zachodzą dziś zjawiska i rodzą się problemy o ogólnoludzkiem wymiarze.

TEATR Lalki i Aktora w Lublinie to instytucja, o której się wie, niekoniecznie ją znając. Jest taki teatr i co? Ledwie na brzegu skarpy, zwierzchna rezydencja z lampami rozkolysanymi w przeciagu bram. Wewnątrz foyer jakby specjalnie stworzone dla aksamitnych kocic. Do widowni przeważnie docierają dzieci, kocic nie ma, bo ciągnie od drzwi. Teatr ma oczywiście to, co powinien mieć każdy teatr. Aktorów, repertuar, dyrektora i nieuchwytnie coś jeszcze, co można by nazwać specyfiką, skoro lalka jest uniwersalnym dalszym ciągiem możliwości aktora... Jednak niezupełnie to tak, bo świat nie kończy się na nastrojach i szczególnych okolicznościach, a lubelski teatr nie siedzi pod kloszem. Więcej, dyrektor Tomasz Jaworski (niespokrewniony z naczelnym „Kamery” ciągle przesiada się z pociągu na pociąg, łączy pracę w Lublinie z obowiązkami dziekana i wykładowcy biostockiego wydziału lalkarskiego warszawskiej PWST. Wie też, czego chce w kontekście ogólnopolskiego inscenizowania w teatrze lalki.

Tomasz Jaworski: — Teatr jest umiejętnością praktyczną, nie teoretyczną. Cokolwiek wiekopomnego by mówić, broni się tylko scena. Moje myślenie na ten temat skupione jest wokół dwu nurtów. Pierwszy to traktowanie teatru lalki jako teatru określonych środków, a nie adresu. Wszystko jedno, czy adresem jest teza moralna, czy pedagogiczna, taki czy inny widz. Interesuje mnie to, jak robię, bez względu na to, komu pokażę. A przeciw sobie robić nie będę. Drugim nurtem moich zainteresowań — już od trzynastu lat to obserwuję — jest degradacja profesjonalna teatru lalkowego. Pod wpływem teatru inscenizacyjnego zaczęło zanikać aktorstwo lalkowe. Jeszcze zasłużeni aktorzy potrafili coś zrobić, ale pokolenie mojego wieku niewiele już może pokazać, jeżeli chodzi o czysty teatr lalki. Niezapominajmy, że najpierw naszą profesją był teatr lalki, potem wprowadzono maskę, a dopiero potem żywego człowieka.

Anna Bocian: — Czy to okoliczności polityczne sprawiły, że w latach pięćdziesiątych teatr lalkowy stał się bardzo inscenizacyjny? Przecież schronili się w nim wspaniali plastycy, znajdując wreszcie właściwy poligon dla swojej wyobraźni.

TJ: — Nie powiedziałbym, że akurat to zagrało. Ten teatr był zawsze aktor-ski. Miał możliwość podjąć wiele prób, na które teatr dramatyczny nie mógł sobie pozwolić. I podejmował. Stąd w latach pięćdziesiątych sukcesy



Fot. Waldemar Stępień

krakowskiej „Groteski”. W latach sześćdziesiątych, gdy teatr dramatyczny miał możliwości szersze — teatr lalkowy zaczął go powielać. I tu był początek kłeski. A plastycy... Teatr lalki zawsze był też teatrem plastycznym, teatrem plastyka i dobrego aktora. To nie plastycy go stłamsili. Zie przyszło, gdy zaczął się okres „kiedy reżyser ma pomysły”. Były to formalna spekulacje, formy niemożliwe do animacji. Był to bardziej teatr plastyki animowanej niż teatr lansujący wysoki kunszt swoich środków. Ale to się zmienia, jak zmienia się teatr dramatyczny, który odchodzi od inscenizacji i zagłębia się w aktorze.

AB: — Krótko mówiąc, wszystko będzie zależało od wszechstronności lalkarza?

TJ: — Nie lubię, kiedy mówi się, że lalkarz musi być wszechstronniejszy albo lepszy od aktora z teatru dramatycznego. Musi być inny. Trudno porównywać zegarmistrza do kowala.

AB: — A jednak aktora lalkarza nie zna się tak jak aktora ze sceny. Raz, że schowany za parawanem...

TJ: — Dwa, że krytyka mało się nim interesuje. Zresztą, gdybyśmy nie znali wielu aktorów z TV oraz filmu, i oni by byli anonimowi. W teatrze lalki anonimowość jest znacznie większa, a widz (o ile potrafi już czytać) zagląda

Między lalką a aktorem

do programu jedynie, gdy ktoś bardzo mu się podoba.

AB: — Prestiż aktora oprócz warsztatu i talentu określa repertuar...

TJ: — Repertuar? Sprytne wymigiwanie się od obowiązków i możliwości. Są przecież sztuki, które były robione tylko raz, bo uważa się, że skoro raz coś się udało, to nie warto powtarzać. Jest to myślenie środowiskowe. W teatrze dramatycznym każdy chce zrobić Hamleta i nie przejmuje się, że był już wystawiany, lepiej czy gorzej. Na przykład „Tryptyk staropolski” wystawiano tylko raz, tu w Lublinie, „Szopkę” Estreicherów robiono dwa razy. Istnieją sztuki, które miały blysk jednego sezonu. A szkoda.

AB: — Co praktycznego wynika dla lubelskiego teatru z tych dwu nurtów przemysłu, tzn. o koncepcji teatru i o jego profesjonalnych barierach?

TJ: — Rozszerzam granice wieku widza od przedszkolnego do dorosłego,

co z punktu widzenia teatru jest koniecznością i rozsądkiem, a co widz nie zawsze uznaje za słuszne. Adresując swoje działania do różnych grup, praktycznie każdą z nich skazujemy tylko na jedną premierę w roku. Teatr uniwersalny to szczęście teatru dramatycznego. U nas sztuka dla dzieci znuży starszych, a sztuka dla dorosłych nie zainteresuje dzieci. To jak z meblami. Na amerykańskie ani się dobrze śpi, ani siedzi. Ustaliłem sobie, że robię jedną sztukę dla dzieci najmłodszych — krótką zabawę teatralną. Drugą to, co najbardziej chwytliwe, baśń. Trzecią — nowość, obejmującą margines poszukiwań teatralnych (nowe środki wyrazu albo repertuar zaangażowany w nowe problemy). Czwartą — lekturę rozumianą nie jako pozycję z listy lektur, ale jako wydarzenie teatralne ważne dla ogólnohumanistycznego wyrobienia widzów, wydarzenie, jakiego nie zobaczymy na innych scenach.

AB: — Jaki jest wobec tego repertuar w bieżącym sezonie?

TJ: — Mam „Króla Rogera” Szymanowskiego w reżyserii Jana Dormana. Jest to sztuka łącząca kategorie lektury i nowości, bo widz ma możliwość zetknięcia się z lalkarską wersją opery. Następnie na przełomie października i listopada, z cyklu: zabawa dla najmłodszych, będzie „Lalka Martina Stevensa, przedstawienie dekonspirujące teatr lalki i dające szansę zabawy w teatr. Później przedstawimy baśń opartą na andersenowskim „Małym Klausie i Dużym Klausie”; jako pracę dyplomową robi ją student reżyserii PWST. Nowinką będzie próba wtlóczenia się w teatr japoński; sztuka japońska tłumaczona na polski z czeskiego, „Asagao” Pavla Tkadleca. W perspektywie baśń Jana Ośnicy „O dwu rycerzach nieustraszonych”. To wszystko — bez sali prób.

AB: — Mimo świetnych tradycji i dziesiątych ambicji teatru lalkowego, na mapie kulturalnej jest on odnotowany mimochodem, a w gruncie rzeczy nieznaną szerokiej publiczności. Dlaczego?

TJ: — Teatr lalkowy przypisuje się dzieciom, a on nigdy historycznie nie był dla dzieci, choć dzieci uczestniczyły w przedstawieniach. Przez dłuższy czas teatr lalkowy był teatrem politycznym. To, że w Polsce stał się dla dzieci, wynika z faktu, iż po woj-

Śladami Henryka Sienkiewicza

Dokończenie ze str. 1

jący nad miastem okazały kościół protestancki pod wezwaniem św. Marcina. Pod koniec XVIII w. Vevey zostało „odkryte” jako miejscowość turystyczna i wypoczynkowa. Tutaj właśnie, w domu przy Place du Marché 2, mieszkała Mme de Warens — ukochana Jana Jakuba Rousseau, i tutaj również zatrzymywał się sam twórca „Emila”. W domu przy Rue de Simplon 13 spędził lato 1868 r. Fiodor Dostojewski. A w ogóle to w końcu XIX w. szczególnie upodobała sobie Vevey arystokracja rosyjska. Przy Rue des Communaux, niedaleko dworca kolejowego, złożył się kopuła cerkiewki pod wezwaniem św. Barbary; wystawił ją w 1878 r. hrabia Szuwałow, po tym, jak w Vevey zmarła jedna z jego córek.

Stało się też Vevey znane ze względu na miejscowy przemysł. A dokładnie: z uwagi na słynną w świecie firmę Nestlé. W połowie ubiegłego stulecia mieszkał tu skromny chemik, pan Henri Nestlé, który na zapleczu swego sklepu zajmował się także produkcją musztardy, świec i sztucznych ognia. Az w pewnym momencie przyszedł mu do głowy pomysł opracowania sposobu produkcji mleka w proszku... Dziś w Vevey wznosi się okazały, nowoczesny gmach centrali firmy Nestlé, skąd kieruje się fabrykami i przedsiębiorstwami rozsianymi w licznych krajach świata.

Z tutejszym przemysłem związany był na początku XX w. Ignacy Mościcki, twórca nowej metody produkcji syntetycznego kwasu azotowego, asystent na uniwersytecie we Fryburgu — późniejszy prezydent Rzeczypospolitej Polskiej. Nie był on zresztą jedynym Polakiem działającym na początku stulecia w Vevey; słynna była na przykład

złożona tu przez dr. Juliana Gawrońskiego placówka dydaktyczno-lecznicza dla dzieci i młodzieży, którą sam założyciel określił mianem „uzdrowiska wychowawczego”. Był to zakład bardzo w Szwajcarii ceniony i często stawiany za wzór.

Dzisiejsze, osiemnastotysięczne Vevey to jednak przede wszystkim „perła szwajcarskiej Riwiery”; miasto turystów i letników — płatnina szerokich zielonych bulwarów i wąskich uliczek, przy których stoją stare zabytkowe domki i okazałe hotele, gdzie zapraszają do wnętrza liczne antykwariały i sklepy z pamiątkami i gdzie na każdym kroku współczesność wiąże się z historią. Także — z historią najnowszą Polski. Wszak właśnie tutaj w latach pierwszej wojny światowej działał słynny Komitet Generalny Pomocy Ojczyźnie w Polsce, zwany po-

tożnie Komitetem Veveyskim, na którego czele stał Henryk Sienkiewicz.

Przy jednej z głównych ulic Vevey — Avenue de la Gare — stoi secesyjny pałacyk: Musée Jenish. Dość typowe miejskie muzeum — poświęcone nauce i sztuce, z działami archeologii, botaniki, zoologii i z salami wystawowymi na pierwszym piętrze. Dla Polaka jednak najważniejsze jest nie wnętrze budynku, ale skromny pomniczek — metrowej wysokości płyta z kremowego, pięknie żyłkowanego marmuru, ustawiona tuż przy samym wejściu na zewnętrzne schody, wiodące do wrot Musée Jenish. Wykute w płycie brązowe litery składają się na napis:

HOMMAGE
AU GRAND PATRIOTE
ET ECRIVAIN POLONAIS
HENRYK SIENKIEWICZ
NÉ A WOLA OKRZEJOWSKA
LE 5 MAI 1846
DÉCÉDÉ A VEVEY
LE 15 NOVEMBRE 1916
LA VILLE DE VEVEY

Tak to „miasto Vevey” ucilo pamięć człowieka, którego ceniło jako polskiego pisarza, laureata nagrody Nobla, ale nade wszystko jako wielkiego patriotę.

Henryk Sienkiewicz był w Szwajcarii wielokrotnie od czasu, gdy latem 1896 r. znalazł się po raz pierwszy w kraju Helwetów, spoglądając nań z wysokości słynnej góry — wyspy Rigi w pobliżu Lucerny. Tej samej Rigi, na której szczycie stary Goethe zachwycał się sto dwadzieścia lat wcześniej „doskonałą wspaniałością świata”. Bywał potem Sienkiewicz w licznych „badach” — w Schinznach, w Ragaz, w cudownym, położonym przy włoskiej granicy Lugano, ale nad Jezioro Ge-

newskie trafił dopiero w roku 1907. Liczył już sobie wówczas sześćdziesiąt jeden lat, był laureatem Nobla, jego nazwisko znano na całym świecie. Przyjechał nad Leman dla odzyskania kuracji zdrowotnej w październiku 1907 r., zatrzymał się w uzdrowisku Montreux-Clarens w hotelu „Royal”.

Montreux jest kolejną „perłą szwajcarskiej Riwiery”. Leży 7 kilometrów na zachód od Vevey, we wspaniałej górskiej okolicy, nad samym brzegiem Jeziora Genewskiego, otoczone stromymi skalistymi zboczami Alp. A mimo to panuje tu klimat łagodny, latem kwitną w Montreux i w niedalekim Villeneuve dziesiątki tysięcy krzaków róż i azalii. Upodobałi sobie Montreux pisarze i poeci: bywali tutaj Rousseau, Wiktor Hugo, Stendhal, Rilke, Byron. W latach pięćdziesiątych w Clarens osiadł Charlie Chaplin z rodziną.

Musiło się podobać Sienkiewiczowi nad Jezioro Genewskim, bo już w półtora roku później, wiosną 1909 r., wybrał się z córką do Villeneuve. Zamieszkali w hotelu „Byron” i tu, wraz z przybyłą z kraju żoną oraz synem, spędził święta wielkanocne. Tegóż samego roku, w październiku, jadąc z Włoch, zatrzymał się pisarz w Lozannie, a następnie spędził dwa tygodnie w Ouchy — „przedmieściu” Lozany, dawniej wiosce rybackiej położonej nad samym Lemanem. Jeszcze raz przyjechał do Ouchy w końcu kwietnia 1910 r., ale depeza o śmierci siostry Heleny zmusiła go do powrotu do kraju, zanim jeszcze zdążył się ostatecznie rozpakować.

Wyjeżdżał Sienkiewicz i w następnych latach do Szwajcarii — do Baden (1910 r.) i do Ragaz (1911 r.), ale nad Jezioro Genewskie trafił ponownie dopiero w 1914 r., po wybuchu pierwszej wojny światowej. Przyjechał wtedy do Vevey. Była to jego ostatnia podróż do Szwajcarii i zarazem ostatnia w życiu. Już więcej Polski nie zobaczył.

Po wybuchu wojny Henryk Sienkiewicz wyjechał wraz z rodziną z Oblegorka do Krakowa, a następnie udał się do Wiednia. Ponieważ obawiano się, że pisarz może być aresztowa-



nie jego propaganda zajęli się pedagodzy i pierwsze teatry były nauczycielskie. Poza tym przyszedł on do nas z ZSRR wzorowany na teatrze Obrazcowa skierowanym na widza dziecięcego, jakkolwiek Obrazcowa robił też teatr dla dorosłych. U nas oprócz Krakowa, Wrocławia i Poznania rzadko podejmowano zamach na widza dorosłego.

AB: — A krytyka?

TJ: — Dla krytyki, który prowadził tu swoje dzieci, był teatrem blahym. Wszystko, co dotyczy dzieci, jest u nas zaniedbane, bo dzieci się nie upomną o swoje teatry, książki, płyty...

AB: — Uważa się, że dając do wojności artystycznej, człowiek wynalazł teatr lalek...

TJ: — Jest to sztuka największych możliwości. Jak każda stara sztuka, jest bardzo skonwencjonalizowana. Tak, że zależy, co kto szuka. Ja, nie odrzucając poszukiwań, zawsze byłem zwolennikiem zabawy starymi konwencjami. Aż wstyd się przyznać, lubię klasyczną pantomimę, lubię cyrk i klasyczny balet.

AB: — Czy dlatego, że w pewnej konwencji łatwiej o czystość stylistyczną i czytelność symboli?

TJ: — Tak, chociaż jednoznaczność w teatrze lalek nie jest taka pewna, ja bym nie chciał, żeby widzieli: nie wiem, dlaczego, ale mi się podoba. Jeżeli coś było impresyjne, to takie zostanie. Jak zagranie jedną lalką, a nie ideą.

AB: — Dlaczego u nas teatr lalkowy nie wychodzi na ulicę, do parku, na plażę — jak w RFN czy Anglii?

TJ: — U nas poza szopką nie istniał teatr ludowy. A i szopka to teatr stosowany okolicznościowo. Ten teatr, który mamy od Obrazcowa, poprzez Jareńców, przyszedł jako instytucja z całym sztafżem. Może i u nas też będzie Akademicki Teatr Lalek, jaką to nazwę dla swego teatru otrzymał Obrazcowa na osiemdziesięciolecie urodzin? Ludzie się stają instytucjami, a co dopiero teatr?

AB: — Szkoda.

TJ: — Czy szkoda? Mogłyby się stworzyć możliwości dla takiego teatru. Na razie mimo festiwalu lalkarzy solistów (on jeden i kilkanaście lalek) — nie takiego się nie zapowiada. Tak, który pracuje w teatrze, jest na gaży, ma prawo do emerytury i jest

artystą, a tamten ulicznik — to kuglarz. Dopiero jak przyjedzie Anglik czy Niemiec, widzimy artystę. U nas jeżeli aktor wpuści się w coś takiego, nie wyjdzie później na swoje. Kryzys lalkarstwa jest odpowiednikiem kryzysu w rzemiośle. Ludzie potrzebują minimum dostatku i gwarantowanej stabilizacji.

AB: — A tak zwane obowiązuje myślenie, zarówno w teatrze jak i na ulicy, ono nie byłoby kula u nogi lalkarza-solisty z przenośnym parawanem?

TJ: — To, co mamy teraz w teatrze lalek, to spuścizna bogatego teatru inscenizacyjnego. Ubogość środków nie interesowała artystów. Była i istnieje nadal niewiara w autentyczną siłę rzemiosła na rzecz możliwości teatralno-technicznych. Wiadomo, jak zrobić burzę, mając park oświetleniowo-akustyczny, ale jak zrobić bez tej aparatury? Poza tym inność śmiesz. Pierwszego neokataryniarza w Warszawie traktowano jak cudaka.

AB: — Ale gdzie indziej jak nie w sztuce powinno się najpierw przelamywać stereotypy?

TJ: — Przyzwyczajeni jesteśmy do pewnych struktur. Gdy zbyt niewygodne, przykładem Sierpień — są przelamywane. Natomiast są struktury wygodne społecznie, np. sprzyjające fotelowi konsumpcji. My jesteśmy tak uniformizowani według pewnej miary i normy...

AB: — Pańskie satysfakcje lalkarskie?

TJ: — „Słowik” Brylla, którego robbiem w Białymstoku, a tutaj „Amor divinus” i „Dziewczynka z ryżowych pól”, która dostała parę nagród, zresztą bez nagrody za reżyserię. Ale myślę, że jeżeli spektakl się podobał i nagrodzono w nim muzykę, scenografię oraz trójkę aktorów, to reżyser może się cieszyć.

AB: — Czy po studenckich przygodach scenicznym w Akademickim Teatrze KUL i teatrach lalkowych w Poznaniu i Białymstoku ma pan jeszcze tęsknoty aktorskie?

TJ: — Jak bym miał szansę na większe satysfakcje aktorskie, nie byłbym reżyserem. Jestem reżyserem, to mam obciążenia, które nie pozwalają mi żyć się w aktorstwie. Gdy w aktorze wyklucze się reżyser, działa na niego hamująco. Reżyser ma swoją sensację, aktor skierunkowany jest na ekspresję. Czasem ekspresja ułatwia wszystko...

wany przez władze austriackie, Sienkiewicz zdecydował się osiedlić na czas wojny w Szwajcarii. Najlepsze do zamieszkania wydawało się Vevey nad Jeziorem Genewskim. Niedaleko stąd było do dużych skupisk polonijnych, w Lozannie i Genewie, a przede wszystkim — w Vevey już od roku mieszkali Janczewscy. Jadwiga z Sztetkiewiczów Janczewska była siostrą pierwszą żony Sienkiewicza, powiernicą jego planów literackich, pierwszym czytelnikiem i „krytykiem” jego utworów. Mimo późniejszych małżeństw Sienkiewicz zachowywał do końca życia jak najbliższe, rodzinne stosunki z Janczewskimi.

Z Wiednia wyjechali Sienkiewiczowie 3 października 1914 r. w towarzystwie blisko z nimi zaprzyjaźnionego mecenasa Antoniego Osuchowskiego. W Vevey autor „Potopu” wraz z żoną zamieszkali w Grand-Hotel Palace, syn i córka pisarza — w pobliskich pensjonatach, natomiast babcia Sztetkiewiczowa — u Janczewskich.

Już wkrótce po przybyciu do Szwajcarii wpadł Sienkiewicz w wir pracy, mającej na celu organizowanie i niesienie pomocy ofiarom wojny, toczącej się na polskich ziemiach. Na początku stycznia 1915 r. zawiązał się w Lozannie wspomniany Komitet Generalny Pomocy Ofiarom Wojny w Polsce. Prezensem Komitetu, przeniesionego wkrótce do Vevey, został Henryk Sienkiewicz, funkcję wiceprezesa pełnił zamieszkały w Morges Ignacy Paderewski, przewodniczącym Komisji Wykonawczej był mecenas Antoni Osuchowski. Nazwiska Paderewskiego i Sienkiewicza, słynny apel autora „Trylogii” skierowany do narodów świata — „Appel aux peuples civilisés” — sprawiły, że bardzo szybko zaczęły na ręce Komitetu napływać zewsząd pokaźne kwoty pieniężne; w ciągu czterech lat działalności organizacja zebrała ogromną sumę 20 milionów franków oraz bardzo wiele darów w naturze — leków, odzieży, żywności. Pomoc wysyłano dla wszystkich ziem polskich, zachowując zasadę całkowitej neutralności.

Sienkiewicz pracował ponad siły, ale też jego działalność bardzo szybko dała znać o sobie w kraju, budziła dodatkowo szacunek i wdzięczność, sprawiała,

że, chcąc nie chcąc, pisarz stawał się na swój sposób — choć zawsze się od tego odzywał — osobistością „polityczną”. W lutym 1915 r., w gronie polskich polityków znalazł się na krótko w Szwajcarii znany działacz ludowy Wincenty Witos. W „Moich wspomnieniach” tak przedstawia ówczesne spotkanie z Henrykiem Sienkiewiczem: „Wielki pisarz przyjął nas niesłychanie uprzejmie [...]. Wkrótce po naszym przyjeździe zjawiał się też u niego p. Osuchowski. Rozmawiając dość długo, staraliśmy się wybiadać Sienkiewicza co do jego poglądów na sprawę polską i poznać jego polityczną orientację. [...] Sienkiewicz jednak pod tym względem wciąż był bardzo ostrożny i wstręmięśliwy. Nikogo nie potępiał za jego przekonania, otwarcie też swojego zdania nie wypowiadał [...]. Dłuższy czas omawialiśmy następnie z Sienkiewiczem sprawy dotyczące nie tylko samej wojny i jej wyniku, ale także układu stosunków politycznych w Europie, a w szczególności w Polsce. [...] Choć okazał wielkie zrozumienie dla spraw społecznych, to mi się jednak zdawało, że jego poglądy mocno się zbliżyły do kierunku zachowawczego. W państwo polskie wierzył bezwzględnie, ale obawiał się w nim gwałtownych przewrotów politycznych [...]. Wróciwszy jeszcze do spraw politycznych zaznaczył, że nie należy potępiać bezwzględnie żadnej orientacji, bo nie wiadomo, jaki będzie wynik wojny, może ona nawet być pewną asekuracją. [...] Z pobytu u Sienkiewicza odnieśliśmy nader miłe wrażenie. Oceńał on każdą sprawę trafnie i z niesłychanym spokojem, starając się o jak największą bezstronność przy wypowiedzianiu sądów. Jakkolwiek mieszkał poza krajem, był o wszystkim dobrze poinformowany. [...] Bardzo wiele budował na chłopach, kilkakrotnie powracając w rozmowie do tego tematu. W rozmowach tych czuć było zupełną szczerotę i brak jakiegokolwiek pretensjonalności. [...] Z prawdziwym żalem musieliśmy już późnym wieczorem pożegnać tego zarówno wielkiej miary pisarza jak też człowieka i obywatela”.

Dokończenie nastąpi

Mirosław Derecki

Dziecko w kotle

Andrzej Jacek Jasiński

DWA razy w tygodniu przy wejściu do szpitala dziecięcego gromadzi się grupka kobiet. Jedne spokojnie siedzą na ławce, inne nerwowo kręcą się po wąskim korytarzu. Z wypchanych siatek wystają słojki z kompotami, owoce, słodycze i zabawki. Na widok lekarza wszystkie zrywają się z miejsc i z niepewnym wyrazem twarzy czekają na wieści. On zaś staje na schodkach i rozpoczyna czytanie: „Jacek Kowalski! Jest ktoś?”

— Jest — matka przepycha się bliżej lekarza. — Co z nim?!

— Najgorsze mamy już za sobą — mówi lekarz, spoglądając w książkę — oparzenia zaczynają się goić.

— A kiedy wyjdzie?

— Droga pani. Cieszymy się, że życiu już nie zagraża niebezpieczeństwo. O wypisanu będziemy mówili za kilka tygodni.

I to właściwie wszystko; inni też się chcą czegoś dowiedzieć. Kobieta odchodzi z opuszczoną głową. Wie, że pretensje może mieć tylko do siebie i do złośliwego losu.

W domu było wielkie pranie. Kotły z gotującą się bielizną na piecu, w kuchni pełno pary. Dzieci miały się bawić w pokoju; tak im przynajmniej przykazano, ale kto w takim rozgardiaszu ma czas o nich myśleć. Ciekawy wszystkiego Jacek wszedł więc niepostrzeżenie do kuchni, nachylił się nad parującym kotłem i... wpadł do środka. Zycie wprawdzie lekarze uratowali, ale kalectwo dziecka jest nieuniknione. Rozległe oparzenia powodują zniekształcenie ciała. Trochę pomogą przeszczepy skóry, ale cudów przecież nie ma, choć czasem tak bardzo ich pragniemy.

Maciek za swą ciekawość zapłacił obiema rękami. Wdrapał się na umieszczony na słupie transformator, dotknął przewodów wysokiego napięcia i stracił przeguby obu rąk, doszczętnie wypalone przez prąd elektryczny. Lekarzom pozostało już tylko ratować resztę przed szybką postępującą martwicą. Chłopiec ma sześć lat i długie życie kaleki przed sobą.

Takie przykłady wypadków można wyliczać jeszcze bardzo długo. Dane, jakimi dysponuje szef Kliniki Chirurgii Dziecięcej w Lublinie doc. dr Jerzy Osemlak, mogą zaniepokoić każdego. Trafiają do lubelskiej kliniki mali pacjenci z całego regionu środkowo-wschodniego, z Zamościa, Biłgoraja, a nawet z tarnowskiego i siedleckiego.

Prawdziwą plagą są oparzenia. W klinice stale przebywa kilkunastu małych pacjentów z tego typu obrażeniami. Rocznie notuje się od 250 do 300 ciężkich, wymagających klinicznego leczenia oparzeń. W każdym też roku kilkoro dzieci płaci najwyższą cenę za chwilę nieuwagi. Oparzeniom ulegają najczęściej dzieci od wieku niemowlęcego do trzech — czterech lat. To w pewnym sensie zrozumiałe. Małe dzieci, ciekawe wszystkiego, co je otacza, nie zawsze zdają sobie sprawę z groźnych skutków zetknięcia się z ukropem czy rozgrzaną do czerwoności płytą pieca.

Dzieci starsze przywożone są do lubelskiej kliniki najczęściej z innego typu obrażeniami — mechanicznymi uszkodzeniami ciała. Wieloletnie już doświadczenie pozwala lekarzom przewidywać, w jakim okresie roku jakie wypadki zdarzają się najczęściej. W czerwcu, na przykład, dominują złamania. Po prostu na drzewach pojawiają się pierwsze owoce i wyprawy do sadów kończą się złamaniami rąk lub nóg. Są to na ogół przypadki niegroźne, bo młode kości szybko się zrastają; nie ma potrzeby hospitalizowania pacjentów i wszystko kończy się na kilku tygodniowym paradowaniu z gipsem.

Najgorsze zaczyna się, gdy nadejdą zima. W gabinecie szefa kliniki wiszą tablice poglądowe z przyklejonymi trzema zdjęciami. Na pierwszym widzimy kilkuletnią dziewczynkę z obciętymi obiema stopami; to dzieło kostarki, tnącej nieczym ostrym nożem i to podwójnie. Druga fotografia ilustruje już mniej makabryczną scenę: trwa proces zraniania się przyszytych stóp. I wreszcie trzecie zdjęcie — dowód niewątpliwego sukcesu lekarzy z lubelskiej kliniki: dziewczynka włada już obiema stopami. Po wypadku pozostały tylko głębokie blizny i niewielki niedowład. Dziecko może jednak swobodnie chodzić i to jest najważniejsze.

Niestety, przypadek ten to wyjątek potwierdzający regułę. Rzadko kiedy lekarzom udaje się całkowicie wyleczyć i przywrócić sprawność ruchową małych pacjentów. Zanim dzieci dowiedzą się do kliniki, jest już zbyt późno. Iuż

to malców straciło ręce, pomagając przy sieczkarni, kombajnie, lub innych maszynach rolniczych! Niebezpieczeństwo czyha zresztą wszędzie, nawet w domu, pod okiem rodziców. Przekleństwem stały się stosowane w nowym budownictwie przeszkłone drzwi. Scenariusz wypadku zawsze jest ten sam: dwójka goniących się dzieci, uciekające zatrzaskuje za sobą drzwi, goniące z rozpędem wpada głową w szybę. Kończy się to niekiedy śmiercią, bo zanim nadejdzie pomoc dziecko umiera z upływem krwi. W gabinecie ordynatora w specjalnej szafie leżą sporych rozmiarów kawałki szkła, pamiętając po takich właśnie przypadkach.

Można długo przytaczać mroźące krew w żyłach opisy wypadków, których w rejestrach kliniki zapisuje się co roku około tysiąca. Tak „bogate” doświadczenia pozwalają określić, w jakich środowiskach i okolicznościach dzieci najczęściej ulegają wypadkom. Najczęściej, bo nieszczęście może się zdarzyć każdemu i wszędzie. Reguła jest jedna: wraz z obniżeniem się standardu życia, poziomu kultury materialnej i duchowej rośnie liczba wypadków. A więc parzą się, kaleczą i łamią ręce — nie wypieszczeni jedynacy, lecz głównie malcy z rodzin wielodzietnych. W ciasnych salach kliniki rzadko leżą dzieci z nowych i nowoczesnych dzielnic Lublina, natomiast często trafiają tu mieszkańcy ulic okolic Lubartowskiej, Kunickiego i starych Bronowic. Mniej także jest tu pacjentów z większych miast, a więcej z miasteczek i wsi... Nie ma w tej obserwacji niczego odkrywczego. Oczywiście jest, że wszędzie tam, gdzie matka nie ma czasu na zajmowanie się każdym z osobna dzieckiem, gdzie wieloosobowe rodziny gnieźdzą się w ciasnych, walących się kamienicach, a dziecko wychowuje się na podwórzu pełnym maszyn i urządzeń elektrycznych, niebezpieczeństwo wzrasta. Zrozumiałe to, ale trudne do zaakceptowania szczególnie wtedy, gdy patrzy się na cierpiące, często nie potrafiące się jeszcze nawet skarżyć dzieci...

Najbardziej zaskakuje, że zarówno lekarze jak i rodzice niewiele mają do powiedzenia na ten temat. Tych pierwszych nie już nie jest w stanie zaskoczyć. Widzieli tyle efektów ludzkiej głupoty i beznadziejności, że kiwają tylko głowami i kinąc pod nosem zabierają się do ratowania tego, co jeszcze można uratować. Rodzice z kolei wolą milczeć. Wiele razy próbowałem rozmawiać z matkami małych pacjentów z chirurgii dziecięcej. Wszystkie potwarzają to samo: „Proszę pana. To była chwila! Ułamek sekundy! Kto by się spodziewał, że akurat jemu to się przydarzy. Teraz to ja już jestem mądra”. Po fakcie. Ale bywa nawet i tak, że trzeba aż dwóch faktów, aby coś tam do świadomości dotarło. W rejestrach kliniki można znaleźć takie przypadki, kiedy dziecko, które raz wpadło pod samochód, w rok później znów trafia do kliniki po podobnym wypadku. Bywa, że kilkuletni malce w kilka miesięcy po ciężkim oparzeniu przywożony jest ponownie — z jeszcze gorszymi poparzeniami. Jak to wytłumaczyć?

Nie da się ukryć, że winę za to wszystko ponosimy my wszyscy po trochu. Na ulicach pojawia się coraz więcej samochodów, a rosnący głód mieszkaniowy powoduje, że wprowadzamy się do nowych mieszkań zanim budowlani zejda z placu budowy; nasze dzieci, zamiast na zielonych skwerkach, bawią się w pobliżu głębokich rowów, otwartych studzienek i czynnych betoniarok. Matki coraz więcej czasu marnują na wystawanie w kolejkach i na przystankach. Nie ma się więc co dziwić, że wypadków jest z roku na rok więcej, że nie wiadomo, do kogo konkretnie mieć o to pretensje, jeśli wykluczyć się fakty ewidentnej beztroski rodziców.

Cóż więc można radzić? Tylko jedno — mieć oczy dookoła głowy, zrezygnować czasem ze stania w kolejce po atrakcyjny towar i spojrzeć, co robi dziecko. Szkoda, że niewiele tylko osób może odwiedzić klinikę i popatrzeć na te długimi tygodniami cierpiące dzieci. Obraz taki długo pozostaje w pamięci.

TAEKWON-DO sztuka walki sztuka życia

Michał Rey

LATA siedemdziesiąte przyniosły na świecie kolejną ekspansję wschodnich sztuk walki. Jest to wynik powtarzających się cyklicznie mód na wszystko, co związane ze Wschodem. Można dociekać socjologicznych mechanizmów tych zjawisk, ale nie to jest naszym celem. Chodzi o coś innego. W Polsce od 1972 roku mówi się o TAEKWON-DO oraz mniej lub bardziej udolnie próbuje się je uprawiać. Dwa ostatnie lata przyniosły szczególny rozwój tej dyscypliny, co związane było i jest m.in. z powstaniem Polskiego Związku Karate, a w nim sekcji TAEKWON-DO oraz z rozgrywanymi mistrzostwami Polski (dwukrotnie w Lublinie). Nie dalej niż miesiąc temu tourné po kraju odbyła grupa zawodników z KRLD propagujących tę sztukę walki. Spowodowało to kolejną lawinę zainteresowania i takż wzrost zapotrzebowania na wiedzę o TAEKWON-DO. Ponieważ w tej dziedzinie istnieje spore materii popłatane, a fragmentaryczne publikacje w prasie podają wiele sprzecznych i nieścisłych informacji, postanowiliśmy przybliżyć TAEKWON-DO w oparciu o wiarygodne źródła obcojęzyczne, jak też o dane od osób propagujących tę sztukę walki w Polsce.

Nazwa TAEKWON-DO jest nazwą koreańską. Tworzą ją trzy słowa: TAE (stopa), KWON (pięść) i DO (sztuka, droga). Można więc przyjąć, że jest to sztuka walki przy użyciu stóp i pięści (dłoni), co później uściśliśmy. Teraz warto zwrócić uwagę na kolejność części ciała w nazwie: najpierw — stopa (TAE), potem dłoń (KWON). Nie jest ona przypadkowa, bowiem zdecydowaną większość ciosów zadaje się w tej walce stopami (od 65 do 80%). I to trzeba zapamiętać.

Przykłady wykorzystywania działań „sportowych” w praktykach religijnych znane są w państewkach plemiennych Półwyspu Koreańskiego od dawna. Prawdopodobnie od VI wieku przed Chrystusem. Ich geneza brała się z naśladowania zachowań w obronie przed zwierzętami, czynności myśliwskich, a także pozycji przyjmowanych przez zwierzęta w sytuacjach ofensywnych i defensywnych.

Pierwotnemu TAEKWON-DO można doszukiwać się już w czasach dynastii Kogurio założonej w 37 roku p.n.e. W 1935 roku ekspedycja archeologiczna odkryła dwa grobowce królewskie tej dynastii. Rysunki na ścianach i sufitych obu z nich przedstawiały m. in. sceny walki przy użyciu stóp i rąk. Sceny z grobowca Muyong-chong przedstawiają dwóch mężczyzn naprzeciw siebie w walce, zaś z Kakchu-chong — dwóch mężczyzn w pozycjach walki. Konstrukcja grobowców pozwala na umieszczenie ich w przedziale czasowym między 3 a 427 rokiem naszej ery. Stąd wniosek, iż na te lata przypadać może początek praktyk walki dzisiejszego TKD.

Znacznie pewniejsze i bardziej materialnie udokumentowane dane o sztuce walki pochodzą z czasów dynastii Silla, założonej na północy półwyspu około 20 lat przed Kogurio. Znane są powszechnie obrazy wyrzeźbione na baszcie buddyjskiego klasztoru Pulguk-sa w dawnej stolicy państwa Silla-Kyungju. W tym też państwie powstała kultura i sztuka wojenna Hwarang-do, rozwijana przez arystokrację i klasę wojowników tej dynastii. Podczas panowania 24 króla dynastii Silla Ching Huenga stworzony został specjalny elitarny korpus Hwarang-do. Oprócz normalnego treningu we władaniu mieczem, włócznią i lukiem praktykowano trening różnych form walki wręcz (rękami i nogami). Celem wzmocnienia ciała i charakteru ćwiczoneo się w długotrwałych wspinaczkach po zboczach, w pływaniu w zimnych rzekach itd. Stworzony został nawet pięciopunktowy kodeks opracowany przez mnicha Won Kanga (VI w n.e.). Owe kanony brzmiały:

1. Bądź lojalny wobec Ojczyzny.
2. Bądź posłuszny Rodzicom.
3. Bądź honorowy wobec Przyjaciół.
4. Nigdy nie uciekaj z pola bitwy.
5. Unikaj niepotrzebnego zabijania i gwałtowności.

Korpus Hwarang-do, ściśle wzorujący się na owych imperatywach działania, czerpał z nich się do walki. Wyczyn jego członków stały się legendarne. Wielu z tych wojowników miało zaledwie 14-16 lat. Oprócz tego kultywowano dziewięć cech uznawanych za najważniejsze: humanitarność, honor, kurtuazję, wiedzę, prawdomówność i przyjaźń, uprzejmość, mądrość, lojalność, odwagę.

W dokumentach pisanych z tamtego okresu znajdujemy wiele informacji o praktyce walki gołymi rękami i nogami, a wśród nich także studia pozycji walki i ruchów formalnych zbliżonych do dzisiejszego TKD.

Kolejne dowody rozwijania sztuki walki pochodzą z czasów dynastii Korio, założonej przez Wang Gona w 918 roku n. e. Za czasów tej dynastii rozpowszechnia się chińska nazwa Subak na określenie sztuki walki wręcz. Lata szczególnej prosperity Subak przypadają na panowanie króla U-jong (1147-1170), będącego gorącym zwolennikiem i mecenasem tej formy walki wręcz. Z jego inspiracji organizowano pokazy techniki Subak, a także walki turniejowe. W kronikach z tamtego okresu zachowały się zapisy typu: „Król podziwiał wysmienność Li U-min w walce Subak i awansował go z Taejong (stopień wojskowy) na Poyolchang”, albo „Król zjawił się w Pawilonie Sang-chun i obserwował zmagania Subak”. Inny znów: „Król przybył specjalnie do Ma-am oglądać walki Subak”. Warto zwrócić uwagę, że w tym samym mniej więcej czasie w Chinach panowała dynastia Sung (960-1279), za której szeroko rozpowszechniło się Kung-fu. Ow fakt wskazuje na nie tylko czyste koreańskie rodowód TKD, ale także jego niezależny rozwój na przestrzeni długiego odcinka dziejów tego kraju.

Dynastia Korio, począwszy od 1231 roku, zaczęła toczyć walki z najeżdżającymi Koreę Mongołami, które doprowadziły w końcu, w 1259 roku, do klęski militarnej Korei. Istnieje wiele przekazów, w których sporo miejsca poświęca się wykorzystywaniu Subak w walce z agresorami.

Kolejna koreańska dynastia monarcha Li (Yi), założona przez Li Song-gie w 1392 roku, również w sposób znaczący przyczyniła się do rozwoju sztuki walki Subak. Najważniejszym faktem jest z pewnością opublikowanie podręcznika Subak. Stał się on popularny wśród szerszych mas, a nie tylko kasty wojskowych, która w czasach Korio miała praktycznie monopol na wiedzę o tej sztuce. W owym okresie dużą popularnością cieszyły się zawody organizowane w miejscowości Chakji, na granicy dwóch prowincji koreańskich: Cholla i Chung-chong. Można je uznać za początek tej walki, jako popularnej gry ludowej. Subak nabrało również funkcji miernika prestiżu społecznego. Wiele stanowisk w królewskiej administracji wymagało od kandydatów także umiejętności Subak. W tym też czasie król Chongjo wydał ilustrowaną książkę „Muye Dobong Tongji”, poświęconą sztukom walki, w tym także i Subak, jako jednej z najważniejszych.

Od połowy XV wieku w miejsce nazwy Subak coraz częściej pojawiało się Taekyon. Jednocześnie rosła popularność tej walki. Dotyczyło to zarówno wojska, jak i prostego ludu. Do rangi spektakularnego wyczynu militarnego urosła bitwa stoczona w 1592 roku pod Kumsan z agresorem japońskim, w której 700 ochotników koreańskich, stosując Taekyon, przesądziło o losach starcia. Walki z Japończykami trwały jeszcze pięć lat i wielokrotnie udowodniona w nich została duża skuteczność Taekyon jako formy walki wręcz. Najazd japoński odparto. Na krótko jednak w Korei zapanował spokój. W latach 1618-1636 trzy kolejne najazdy Mandżurów spowodowały wyniszczenie kraju i uczynienie z Korei wasala mandżurskiej dynastii Cing, powstałej w 1644 roku (panującej aż do 1911 r.). Równocześnie spadło zainteresowanie sztuką wojenną i zarysowały się wyraźne tendencje antymilitarystyczne. Odbiło się to oczywiście także na Taekyon, który sprowadzony został do rekreacyjnej zabawy ludowej.

W 1899 roku rozpoczęła się jednak okupacja Korei przez wojska japońskie (do 1945 r.), podczas której wszelkie próby uprawiania sztuk walki karane były długoletnim więzieniem lub nawet śmiercią. Represje te dotknęły również Taekyona. Uchronić je od zapomnienia zadano dzięki garście uczniów, którzy poświęcili się wyłączenie propagowaniu tej sztuki, groma-

dzieniu przekazów historycznych, podręczników i konspiracyjnym ćwiczeniom.

Wśród postaci szczególnie aktywnych w kultywowaniu sztuki Taekyon w latach trzydziestych i czterdziestych był Choi Hong Hi, młody żołnierz, a następnie porucznik, czynnie zaangażowany także w odzyskanie przez jego kraj niepodległości. Przez kilka lat poprzedzających wyzwolenie spod japońskiej niewoli przebywał on w więzieniu. Po wyzwoleniu zajął się intensywnym szkoleniem żołnierzy koreańskich w zakresie Taekyon. Pracował również nad kodyfikacją tej sztuki walki oraz ustaleniem reguł uprawiania jej w wersji sportowej.

W 1953 roku doszło w Seulu z inicjatywy — wówczas już — generała Choi Hong Hi do zjazdu mistrzów, historyków i teoretyków wschodnich sztuk walki. Wówczas to przyjęta została oficjalnie nazwa TAEKWON-DO oraz powołano Międzynarodową Federację TKD (International Taekwon-do Federation). Prezesem został wybrany oczywiście generał. Zresztą innych kandydatów nie było. Od tego czasu



Malowidło naścienne z królewskiego grobowca Muyong-chong dynastii Kogurio.

Repr. Leszek Kosiński

nastąpiła prawdziwa eksplozja zainteresowania TKD.

W 1972 roku z przyczyn bliżej nieznanych doszło do schizmy w ITF i gen. Choi Hong Hi zdecydował się na emigrację z Korei Południowej. Odebrał z Seulu do Kanady i tam pozostał już na stałe. Siedzibę ITF założył na nowo w Toronto i rozpoczął intensywną działalność propagatorską, skierowaną na kraje wszystkich kontynentów. Pomagała mu w tym (i robi to do dziś) grupa uczniów, którzy wraz ze swoimi mistrzami opuścili kraj. Wkrótce też gen. Choi przyjął obywatelstwo kanadyjskie.

W tym samym czasie, kiedy Choi Hong Hi opuszczał Seul, tworzyła się już nowa organizacja pod nazwą Światowa Federacja TKD (World Taekwon-do Federation). Na jej czele stanął główny opozycjonista generała — dr Un Yong Kim. WTF nie zasympiała gruszek w popiele i już w maju 1973 roku zorganizowała w Seulu I Międzynarodowe Zawody w Taekwon-do, a następnie kolejne, w odstępach dwuletnich (ostatnie odbyły się w Ekwadorze). Jednocześnie WTF podjęła intensywne starania o przyjęcie TKD w poczet sportów olimpijskich, z myślą o Igrzyskach w 1980 roku w Seulu.

Wszystkie te działania nie przeszkadzały generałowi Choi, który uważa z kolei za jedyną prawdziwą organizację ITF. Jej propagowaniu poświęca zresztą wiele energii i zabiegów. W ostatnich dwóch latach nawigował on kontakty z KRLD. Sam kilkakrotnie przebywał w Phenianie, a trenerzy ITF szkołą obecnie zawodników północnokoreańskich. Właśnie grupa dziesięciu taekwondeków występująca w hall WOSIR w Lublinie i jej popisy są widocznym tego efektem.

O tym, czym się różnią obie federacje, napiszemy w następnym odcinku przy okazji informacji o podstawowych technikach TKD, ich uprawianiu oraz przepisach sportowych.

W tym miejscu godzi się zauważyć, iż obok ITF i WTF działają w USA dwie bardzo wpływowe i popularne szkoły walki, biorące rodowód z TKD lub ze sztuk je poprzedzających. Są nimi Dang Soo Do propagowana przez słynnego Chuck Norrisa (partnera Bruce Lee w kilku filmach) oraz Moon Duk Kwon lansowana przez Richarda Chun'a. Pierwsza jest w zasadzie „czystą” szkołą walki (bez wersji sportowej), druga posiada powiązania z WTF i orientuje się na wersję sportową.

Na zakończenie pierwszego odcinka należy spróbować wyjaśnić pewien mocno kontrowersyjny problem historycznego powinowactwa TKD z chińskim Kung-fu i japońskim Karate. Z dostępnych nam źródeł wydaje się, że wszystkie trzy sztuki walki pochodzą z jednego źródła, jakim jest sztuka medytacji Zen i walka Kalari-Palyot, znane w Indiach wcześniej niż każda z nich w Korei, Chinach, czy Japonii. W VI wieku mnich buddyjski Bodhidharma (Daruma) przeszedł pieszo Tybet i zatrzymał się w chińskim klasztorze Szaolin-su (prowincja Honan). Tam zaczął nauczać wspomnianych Zen i Kalari-Palyot. Miało to zapewnić mnichom perfekcję fizyczną i umysłową. Tak właśnie powstało Kung-fu. Można przypuszczać, że sztuka ta ewoluowała do postaci koreańskiego TKD i japońskiego Karate. Tak głosi pierwsza i bardziej popularna wersja. Do jej zwolenników należy m.in. autorytet

sztuk walki, Nakayama, autor znanej pozycji książkowej „Dynamic Karate”.

Druga wersja, mniej rozpowszechniona, głosi, że TKD jest starsze zarówno od Kung-fu, jak i Karate. Przekonywać mają o tym dane historyczne, a zwłaszcza zaprezentowane wyżej dowody z grobowców królewskich dynastii Kogurio, z lat od 3 do 427 roku n.e. Indyjski kapłan Daruma dotarł do Szaolin-su w 520 roku n.e., czyli w najlepszym razie... 93 lata po wykonaniu malowideł. Wniosek: Kung-fu nie może być źródłem TKD. W myśl tej samej wersji Karate przyszło do Japonii z wyspy Okinawa i jest tylko rozwiniętą formą tamtejszej sztuki walki Okinawate. Znane są również przykłady kontaktów mieszkańców tej wyspy z Koreańczykami w czasach, kiedy dynamicznie rozwijali oni Subak. Nie jest więc wykluczone, że daleki początek Okinawate. Nie jest to niemożliwe, bowiem w podobny sposób trafiła w tym czasie do Japonii koreańska zabawa w huśtawkę Nul. Za takim, koreańskim, pochodzeniem Karate opowiada się słynny Oyama (autor „This is Karate”). Mówi się także, że wzory Kung-fu przeniósł do Japonii Chińczyk Chen Yuan-pin i taki był początek Karate.

Reasumując. Pozycja historyczna TKD jest silniejsza od pozycji Kung-fu i Karate. Nie można przyjmować wtórności TKD wobec którejkolwiek z tych sztuk, a z umiarkowanym prawdopodobieństwem można mówić o TKD jako źródle Karate.

(Dokończenie nastąpi)

SZAJNA

ODNAJDUJĘ się w samotności. Chcę pracować i wypowiadać się z tej właśnie pozycji, bez potrzeby ocierania się o ludzi — mówi dziś Józef Szajna i jest to wyznanie zdumiewające w przypadku artysty, którego twórczość rozwijała się poprzez anektowanie coraz rozleglejszych przestrzeni: fizycznych, moralnych, filozoficznych i społecznych, konstytuując się ostatecznie w zjawisko niepowtarzalne, budzące zainteresowanie wszędzie: w Polsce, Francji, w Stanach Zjednoczonych Ameryki, Meksyku i Wenezueli, w Wielkiej Brytanii, Jugosławii, Holandii, we Włoszech, na Węgrzech, w Finlandii, Norwegii, Hiszpanii czy Rumunii — a więc tam, gdzie docierał ze swoim teatrem, przede wszystkim, lub wystawami malarstwa i environment. Nawet we Florencji, mieście rodzinnym autora „Boskiej komedii”, z entuzjazmem przyjęto autorski spektakl „Danteo” Szajny, pokazany tam w 1974 roku na międzynarodowym festiwalu teatralnym jako prapremiera. Na wielkiej imprezie w Berlinie Zachodnim, prezentującej portret człowieka w sztuce minionych dwóch tysięcy lat, jego „Reminiscencje”, znane zresztą publiczności lubelskiego BWA z 1969 roku, zajęły 160 m kwadr. powierzchni, a nazwisko autora trafiło do poszukiwanej dziś publikacji, rekapitulującej idee tej

wystawy, w której eksponowano m.in. dzieła takich artystów, jak np. Picasso.

Szajna intrygował ludzi z różnych krajów, kontynentów i kultur, bo właściwie zawsze mówił im o uniwersaliach człowieka — językiem tyle własnym i oryginalnym, co ostatecznie zrozumiałym za sprawą wizualnej struktury przedstawień, która służąc budowaniu skomplikowanych metafor, nigdy nie zamieniała się w byt sam dla siebie, zrywając więzy z humanistyczną artykulacją autorskiej idei, organizującą twórczość artysty. Niektórzy krytycy, ceniący sobie dialogowanie w teatrze i subtelne grymasy aktora, zarzucali co prawda Szajnie, że odebrałszy Melpomenie jej podstawowe atrybuty dramatyczne, jakoby niezmiennie i wiecznie, zdegradował uduchowioną muzę do roli maszynisty ruchomej sceny plastycznej, teatralizując jednocześnie własną twórczość, mówiąc umownie, malarską, ale pomówienia tego rodzaju bardziej wynikały z sentymentu dla tradycji, niż z bezstronnego rozpoznania realnego pola sztuki aktualnej, na którym trudno dziś spojrzeć wyraźniejsze granice między rodzajami i gatunkami artystycznymi. Nie chciano chyba przy tym zauważyć, że Szajnie obce były ambicje tworzenia teatru, czy plastyki. Jego cele sprowadzały się do czegoś innego: do kreowania sztuki, ewokującej problem człowieka agresywnego dla i w imię dobra, a w tzw. planie formalnym lub metodologicznym sformułowanej się przy pomocy „narracji wizualnej”, uznanej przez artystę za najbardziej dziś nośny środek komunikacji międzyludzkiej. Ogromne koła z wpisnymi w nie ludźmi („Dante”),

krzesła („Majakowski”), beczki, drabiniaste trapezy i ruchoma „kolejka” („Cervantes”), ogromne buty („Replika”) — te wszystkie przedmioty z oryginalnych sztuk Szajny nie należą do rodziny konwencjonalnych rekwizytów teatralnych, powiększonych i odpowiednio uszeregowanych — tylko dla zaszokowania widza, dla pustego w końcu efektu. To są znaki — konieczne elementy metaforycznej struktury artystycznej, złożonej z rzeczy, aktorów i relacji między nimi. W takiej przestrzeni scenicznej nie ma już miejsca dla aktora — pana stworzenia, który stojąc na proscenium „puszcza oko” do publiczności i upaja się brzmieniem własnego głosu. Trudno się zatem dziwić, że stosunki między Szajną a aktorami nie zawsze były anielskie.

Wspomniałem na wstępie, że twórczość tego artysty rozwijała się poprzez anektowanie różnorodnych przestrzeni, m.in. społecznej. Nie miałem jednak na uwadze tzw. zaangażowania Szajny w takie czy siakie problemy socjalno-polityczne, lecz bezprecedensową instytucję, jaką stworzył po przeniesieniu się z Krakowa do Warszawy w 1971 roku, nazwaną z czasem Centrum Sztuki „Studio”. Składało się ono z teatru, znakomitego zbioru malarstwa współczesnego, galerii prezentującej różne postaci sztuki aktualnej (konceptualizm, performance, video, film-art, foto-art, piktorializm) i muzykę. W ramach Centrum działało ponadto podyplomowe studium scenografii ASP, prowadzone przez Szajnę, którego słuchaczami byli m.in. cudzoziemcy. W ozdobnych murach dawnego Teatru Klasycznego, schowanego w Pałacu Kultury i Nauki, autor „Guilguery”

uruchomił żywy ośrodek sztuki, znany i ceniony w kraju i za granicą, a więc coś społecznie ważnego. Zauważmy przy tym, jak idealnie mieści się to dzieło Szajny w ogólnej koncepcji jego sztuki. I zapytajmy: czy nie zostanie zdefiniowane teraz, kiedy artysta zrezygnował już z kierowania „Studium” i „odnajduje się w samotności”?

Ludzie nie chcą jednak przystać na oddalenie się Szajny od życia publicznego. Dziennikarze stale proszą go o wywiady (nie wszystkim ich udziela), a Włoska Akademia Sztuki i Pracy w Salsomaggiore przyznała niedawno artyście swoje najwyższe wyróżnienie: „Złotego Centaura”, które swego czasu otrzymali tak wybitni twórcy, jak Chagall, Moor, Vedova. Dodajmy, że instytucja ta ma charakter świątynny stowarzyszenia artystów i intelektualistów, skupiającego 7000 członków, posiada własne muzeum, bank i czasopismo, a na jej czele stoi Nicolo Panepinto, dziennikarz i działacz międzynarodowego ruchu obrońców pokoju. Akademia urządziła doroczne festiwale sztuki — na kolejny, w 1983 roku, zaproszono już Szajnę z „Repliką”.

Ostatnio, 13 października, Szajna przyjechał do Lublina — dawne sentymenty! — na zaproszenie... naszej „Estrady”, która z rozrywkowych niedys „Prezentacji” zrobiła ceniony, interdyscyplinarny festiwal artystyczny, za co jej chwala. Artysta dwukrotnie spotkał się z publicznością, m.in. w scenarii wystawy retrospektywnej w BWA, gdzie na tę okazję przybyło kilkaset osób!

Daj, Boże, każdemu taką samotność...

IJK

EKRAAN I WIDZ

„DEBIUTANTKA”

KAZDY z reżyserów pragnie mieć swą płonącą gwiazdę, swoje medium, poprzez które wypowiada się w filmach, ekranową personifikację własnych marzeń, przekonań, kompleksów, tęsknot. Josef von Sternberg miał Marię Dietrich, Antonioni — Monicę Vitti, Hitchcock — Grace Kelly, Bergman — Liv Ullmann, Woody Allen — Dianę Keaton, a Charles Chaplin — samego siebie. U nas w Polsce znane są ściśle relacje: Wajda — Krystyna Janda, Poręba — Ryszard Filipiak. Natomiast Barbara Sass upodobala sobie na gwiazdę Dorotę Stalińską. Dała jej główną rolę w filmie „Bez miłości”, ostatnio — jedną z centralnych ról w „Debiutantce”, a teraz, zdaje się, znowu kręci z nią kolejny film. W „Bez miłości” Stalińska grała bezwzględnie w działaniu, niezawodną w użyciu młodą polską dziennikarkę, w „Debiutantce” kreuje postać bezwzględnie zdążającą do celu młodej polskiej architektki.

Barbara Sass chętnie ubiera Stalińską w wyświechtane dzinsy, strzyże jej włosy na zapalke, nakłada na nos okulary w grubej oprawie, czyni jasz-

cze bardziej kanciastą dość krępą z natury sylwetkę aktorki, jakby chciała wydobyć z niej wszystkie cechy „męskie”, całą szorstkość, całą muskularną fizyczność... W „Bez miłości” Stalińska stosowała chwyt karate w walce z chuliganami i włożyła się, niczym rzymski paparazzo z reporterskim aparatem fotograficznym w rękę, po marginesach warszawskiej społeczności (pokażcie mi notabene taką młodą — albo i starą — polską dziennikarkę!). W „Debiutantce” — Stalińska walczy na pięść i pazury z Elżbietą Czyżewską, w dodatku po pijanemu, i więcej: w zbalwanionych morskich odmetach, aby tamtą uratować od utopienia. Nawiasem mówiąc, jedyna to dobra scena w tym filmie. Jednak w zestawieniu z doskonałym, wysokiej klasy aktorstwem Czyżewskiej i Andrzeja Łapickiego, młoda aktorka chwilami prawie przestaje egzystować na ekranie.

„Debiutantka” to opowieść o młodej, zdolnej, ambitnej i nie liczącej się z nieczym osobie, która po skończeniu studiów przyjeżdża do Gdańska, aby tam, pod okiem Mistrza o światowej sławie, tworzyć nowe, wielkie projekty architektoniczne. Niestety, sława Mistrza okazuje się być już zwierzchnią, a on sam — pogubiony w sobie, w otaczającym go świecie, wypalony i pusty. Żyje w dziwnym, nienormalnym układzie z młodszą, głupią żoną, popadającą coraz bardziej w alkoholizm (Bożena Adamkówna), i z kie-

rowniecką zespołu architektonicznego, pracującą za niego i za siebie, utrzymującą cały dom wieloletnią jego kochanką (Elżbieta Czyżewska). Jako „ta trzecia” dołącza w pewnym momencie Ewa (Dorota Stalińska). W tle — toczy się realne życie, odbywają się zebrania „Solidarności”, idą rozgrywki o zatwierdzenie lub utracenie projektów, dżicy budowniczości wznoszą domki na terenach przeznaczonych pod obiekty publiczne. Ale to tutaj, w niewielkiej willi nad brzegiem morza, rozgrywa się pierwszoplanowy dramat między trzema kobietami i mężczyzną, i nie wiadomo do końca, czy to one są ofiarami Mistrza, czy też właśnie on jest zdany na pastwę trzech modliszek.

Pomysł na film — doskonały, można powiedzieć — bergmanowski. Na Bergmana jako na swego mistrza powołuje się nieraz zresztą Barbara Sass. A nawet wygłasza takie zdanie: „Moje kino, moja prawdziwa sztuka była zawsze i jest w wielkim realizmie psychologicznym, który jednocześnie nigdy nie dał się splaszyc, sformalizować i unieścić, ponieważ żywił się głęboką prawdą o człowieku i życiu, a nie jej powierzchwnością”. Wielkie słowa! Mój Boże, żeby tylko za słowami zechciały iść jeszcze czyny! Bo temat, konflikt, intrygę można jeszcze wymyślić stosunkowo łatwo. Ale przenieść je na scenę, na strony powstającej książki lub na ekran... O, tu już

w grę wchodzi cały szereg czynników „irracjonalnych”, sprawiających, że talent i osobowość autora — a także dobra passa twórcza — dają w końcowym efekcie prawdziwe, porywające dzieło. Dzieło sztuki. Niestety, „Debiutantka” (jak zresztą i „Bez miłości”) są po prostu filmami... do oglądania. To znaczy: „dzielami nie pozabawionymi pewnej sprawności reżyserskiej ale i nie przekraczającymi określonej granicy przeciętności”. Filmami, które się ogląda do końca, ale o których też się szybko zapomina. Zresztą, idźcie, przekonajcie się sami...

I jeszcze o Dorocie Stalińskiej: jako postać pierwszoplanowa, jak dotąd — moim zdaniem — nie sprawdziła się. Ale może nie jej to wina. Bo albo robi się z niej komandosą walącego na odlew, albo — eteryczną piosenkarkę, mającą przywoleć na myśl Hankę Ordonówną, tak jak to miało miejsce w „Miłość ci wszystko wybaczy”. Tymczasem nawet największa miłość do polskiego kina i do historii polskiej rozrywki nie wybaczą tej roli Dorocie Stalińskiej, ani tego filmu Januszowi Rzeszewskiemu. A prawdziwy talent, komediowy pokazała Stalińska w niewielkiej, ale doskonałej roli w „Wahadelku” Filipa Bajona. Otóż to: reżyser, aby się spełnić, musi znaleźć swoją „gwiazdę”, ale też aktor — musi trafić na swego reżysera.

M. D.

POCZTA LITERACKA

Sławomir T. Złotoryja. Papier własnej firmy pod nazwą ST wraz z dokładnym adresem posiada Pan imponujący. Obyśmy na takim mogli przepisywać nasze artykuły! Jest Pan więc aż nadto przygotowany do osobistego reklamowania swoich wierszy. Taki komfort jednak zobowiązuje do dbałości o resztę, np. o ortografię.

Pańskie „wiece” w „Czekoladkach” i „Upadku imperium” podobają mi się mniej od samych utworów, nie wieńczę one bowiem wierszy z wspomnianego firmowego papieru. Nadto proponuję zapamiętać formułkę:

Naprawdę na pewno pisze się razem, na pewno naprawdę pisze się osobno.

Ale teraz do rzeczy: nadesłane utwory podobają mi się bardziej, przede wszystkim ich humanistyczna wymowa. Spozstrzega Pan krytycznie, to, co nas otacza, co jest też w Panu i najbliższych, ale przeciwstawia się Pan na swój sposób temu, wola o odmianę. „Tak trzymać!” — wołają marynarze.

Jeśli się Pan nie obrazi, proszę napisać coś o sobie i o własnym widzeniu poezji, a także nadesłać nowe utwory.

Kossa. Lublin. Ma Pani do mnie jakby trochę żalu. Nie jest chyba jednak aż tak wielki, skoro mi Pani nadal ufa, powierza wiersze i skryte myśli. Dziękuję. Mimo, że nie przesłała Pani i tym razem adresu, nawet do wiadomości działu literackiego, utwory z poprzedniej przesyłki zachowuję, bo być może zechce je Pani odrzywać. Ma Pani słuszną rację: należy nadal dla siebie pisać, bo z tym czuje się Pani mniej samotna. Nie odradzałem tego Pani. Tę spuściznę dla wnucząt proszę jednak obowiązać wstążeczką, a nie

sznurkiem, niech Pani tak nie osądza swego pisania. Szlachetne myśli, doznania i przestrogi warte są tego!

Adam S. Kieles. W ostatnim zdaniu listu pisze Pan: „Jeśli nie, albo mało warte — do kosza!” Zastosowałem się do tego zalecenia. Ma Pan zbyt wielką łatwość przelewania wrażeń na papier. Dobrze to i źle. Na razie to drugie. Wielu jednak tak zaczynało, a potem dorofleli i w formie i w treści, ba, oddalili się od poetyckich grzechów młodości tak dalece, iż nie można ich z tym okresem utożsamiać. A może im tego żal?

TJ

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Zaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bortno, Mirosław Durecki, Tadeusz Jasiński (literownik działu literackiego) Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pajak, Waldemar Plasecki, Waldemar Sępień (fotoreporter) Redaktor techniczny — Ewa Dybek korektor — Marianna Obłosa

Redakcja nie wstępuje do sporów między autorami i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątek w godz. 10-14.

Wydawca: Wydawnictwo Spółdzielcze Wydawnictwa BSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Żasowa 2, tel. 533-34.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Oulka 4

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 533-92, sekretariat redakcji 518-92, dział publicystyki i literacki 572-05.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-030 Lublin 1, skrytka pocztowa 231 polecenie i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zas. 1467, V.IX.1983 r. N-4.

Familijna harmonia czyli BAJM

Istvan Grabowski

KASIA nie chce zasnąć i domaga się kołysania na rękach, choć jej mama powinna teraz siedzieć nad nauką niemieckich tekstów piosenek.

„Za kilkanaście dni wyjazd do Drezna na Festiwal Przebojów, a my z przygotowaniem jeszcze daleko w polu. Może babcia zechce pomóc trochę przy dziecku? Włosna, kiedy jechaliśmy do Związku Radzieckiego, Kasia miała tylko pięć miesięcy. Obie babcie sprawiły się jednak doskonale” — oznajmia Beata Pietras.

Jej mąż, Andrzej, włącza magnetofon. Gra oczywiście BAJM. Jakość techniczna dźwięku nie najlepsza, bo to amatorski zapis ostatnich koncertów z Torunia. Nagrania radiowe są w ostatniej fazie technicznej obróbki; nad ich kształtem pracuje reżyser Wojciech Przybylski. Po wyjeździe Andrzeja Poniatowskiego na Zachód BAJM przeniósł się z lubelskiego studia do warszawskiego M-1 przy ul. Mysliwieckiej. „Atmosfera pracy jest tam dobra. Nie wiemy tylko, jaki będzie finał. „Różowa kula”, „Co mi panie dasz” i „Józek, nie daruję ci tej nocy” mogą wyjść bardzo dobrze lub przeciętnie” — mówi Pietras i podsuwa mi plik odbitek z ostatniego serwisu fotograficznego.

Od kwietnia br. BAJM, wzmocniony personalem przez dwóch gitarzystów, przystąpił do energicznej działalności koncertowo-nagraniowej. Wcześniej, przez kilka miesięcy pauzował, co było po części spowodowane ciężką Beatą. Pierwszą poważną trasę koncertową muzyki lubelskiej przemierzali w ZSRR, w ciągu trzech tygodni odwiedzając wiele miejscowości. Przyjmowano ich owacyjnie. Radziecka publiczność ceni melodyjny pop-rock, a BAJM idealnie mieści się w tym stylu. Później zdążyli zagrać w kilku miastach polskich, wszędzie spotykając się z gorącym aplauzem słuchaczy. BAJM nie tworzy dla jednoznacznie określonego odbiorcy, jego melodyjnych piosenek z wyraźnym zaznaczeniem rytmem słuchają chętnie także nieco starsi melomani. Dodacь warto, że członkowie zespołu są sympatyczni, bezpośredni w rozmowie, przyjaźnie nastawieni od fanów odwiedzających ich po koncertach.

Andrzej przerzuca płyty. „Jesteśmy wszyscy pod urokiem beatowskiej melodyki i Beatlesów słuchamy najczęściej. Pasjonują nas zwłaszcza nagrania Paula McCartneya; robi cudowne rzeczy. Ostatni album „Tug of the War” (Przeciąganie liny) uważamy za dzieło dużego formatu. Jesteśmy melodykami. Szansę dla siebie widzimy w pop-rocku i robimy wszystko, by nasze piosenki pasowały do tej stylistyki. Pamiętam dobrze nasz debiut na przeglądzie młodych zespołów Lubelszczyzny w Świdniku. Otrzymałmśmy wtedy „Brazowego Koziołka”, choć tak naprawdę byliśmy jeszcze mocno „zieloni” w tajnikach muzyki. Do wielu istotnych, jak się później okazało, zagadnień dochodziliśmy po omacku”.

Rzeczywiście, droga dzieląca tych młodych ludzi od debiutu po dzień dzisiejszy była długa i kręta. Zaczynali od nieskomplikowanych struktur melodyjnych i harmonicznych, przeważnie ballad, jakie bez trudu dalo się wykonać z akompaniamentem dwóch gitar akustycznych i perkusyjnych „przeszkadzajek”. Z czasem zmienili upodobania. Uznali, że akustyczna forma nie odpowiada już ich ambicjom, a i jest ciut niemodna. Poza tym dopingowała konkurencja. Rozwijający się burzliwie ruch młodej generacji rocka mógł obrócić w perzynę ich nadzieje i plany. Po zweryfikowaniu możliwości technicznych, zdolności i chęci, Jarosław Kozdrak — szef muzycznej grupy — napisał kilka niezłych piosenek w innym niż dotąd stylu. Nowe brzmienie zapewniła BAJM-owi rockowa sekcja rytmiczna złożona ze sprawnych muzyków. „Czary, mary”, „W drodze do jej serca”, „Po prostu stało się”, „Co ci to da” i „Zal prostych słów” — te właśnie utwory, zrealizowane w Lublinie, okazały się kompletnym zaskoczeniem dla sympatyków zespołu. Nowa barwa, atrakcyjna instrumentacja, ciekawe podziały rytmiczne i dobrze zgrane głosy podniosły piosenki do rangi przebojów. Niemala w tym zresztą zasługa realizatora wszystkich nagrań, Andrzeja Poniatowskiego, który do każdej piosenki potrafił dodać własne, oryginalne pomysły, decydujące o ostatecznej formie, brzmieniu i nasroju. „Tonpress” bardzo szybko wydał na singlu „Czary, mary” i „W drodze do jej serca”. Pojawiała się nawet szansa na przeformowanie longplaya; niestety, plany te rozwały się z powodu różnych trudności, których nie dalo się wtedy przeszkodzić. Poniatowski wyjechał z kraju i trzeba było szukać innego reżysera dźwięku. W tej chwili grupa mogłaby nagrywać nowy album, dysponując repertuarem rzetelnie przy-

gotowanym i sprawdzonym na koncertach. Czy nie szkoda jednak odkładać do lamusa mało spopularyzowane na antenie piosenki z ubiegłorocznej sesji? Najlepszym rozwiązaniem byłoby chyba zmontowanie płyty z wcześniejszych i premierowych nagrań.

„Autorem pomysłów do naszych piosenek jest przeważnie Jarek, ale o ostatecznym przebiegu linii melodycznej i wokalne decydujemy w szóstce. Każdy ma coś do dorzucenia. Nie przyjmujemy bezkrytycznie wszystkich propozycji Jarka, zwykle z dziesięciu przechodzą dwie, czasem trzy. Najpierw opracowujemy wokale, w którym największe pole do popisu ma Beata, pisząca zresztą teksty. O wyborze tematu decyduje przeważnie klimat muzyki. Bywa on smutny, ale i wesoły — jak w życiu. Staraliśmy się przy tym unikać banalów, które kładą najlepszą muzykę i przeważnie to się nam udaje. Po „zapieciu” wszystkich chórków dyskutujemy o rytmie, tempie i niuansach instrumentalnych. Wiele pomysłów rodzi się w bólu, siedzimy nad każdą piosenką dosyć długo”.

Oczywiście, łatwiej jest muzykować, kiedy zespół oprócz kontaktów towarzysko-zawodowych cementują więzy rodzinne. BAJM jest właśnie taką firmą familijną. Powstał, kiedy Beata chodziła jeszcze do liceum jako panna Kozdrak i namawiała brata do komponowania. Szło im początkowo niesporo. Mało kto wierzył, że w Lublinie może powstać druga po Budce Suflera grupa o rozgłosie ogólnopolskim. A przecież marzenia rychło stały się faktem. Dołączenie Andrzeja Pietrasa, Marka Winiarskiego i Andrzeja Kozłary przypięczyło właśnie imieniu BAJM-u (nazwa od pierwszych liter imion założycieli). Świdnik, Toruń, Opole — to kolejne etapy festiwalowych prób, dodać wypada — zakończonych sukcesem przed kamerami TV. Piosenka „Piechotą do lata” nuciła przecież cała Polska.

Rok 1978 odmienił zasadniczo losy amatorskiej dotąd formacji. Podczas Derby Estradowych w Koninie przyznano jej „Złote Kopyto”. O BAJM upomniała się telewizja (ośrodki krakowski i katowicki) i fonografia. Czego trzeba więcej?

Muzycy traktowali swą obecność na scenie bardzo serio. Próbowali, poprawiali, nagrywali, mikrowali, opracowywali ponownie temat, by w końcu dorobić się pełnospektaklowego programu, firmowanego przez łódzkie Stowarzyszenie Muzyki Estradowej. Koncertowi kibice szybko przekonali się do produkcji lubelskiego kwintetu, akceptując jego „Wedrowca”, „Rano”, „Jesienna bossanowę”, „Lenartowicza” i inne piosenki rodzinnej spółki Jarek-Beata. Na ich powodzeniu zaważyła bliska młodemu pokoleniu tematyka tekstów. Wiele nastolatków odbierało je jako własne spostrzeżenia i refleksje nad otaczającą rzeczywistością.

Kolejny przełom w biografii zespołu nastąpił w roku 1980, kiedy do grupy dołączyli dwaj gitarzyści i perkusista. Stworzyli oni brzmienie, jakiego mogła pozazdrościć niejeden formacja, startująca w wyszyciu o popularność. Wprawdzie instrumentalni ci nie zgrali w zespole zbyt długo miejsca, ale ich dokonania nie sposób przemilczeć.

Pod koniec ubiegłego roku ustalili się trwały skład BAJM-u. Tworzą go prawie sami lublinianie: Beata i Andrzej Pietrasowie — śpiew; Jarosław Kozdrak — gitara, śpiew; Henryk Mazurek — gitara; Marek Makuch — bas. Jedyny „obcy” w tym towarzystwie — perkusista Bogdan Tchórzewski pochodzi z Puław. BAJM, firmowany obecnie przez Stołeczną Estradę, opowiada się za muzyką pop z elementami dynamicznego rocka, które określają efektowne solówki gitar, nie zagęszczające jednak struktury harmonicznej utworów.

„Nasze piosenki trafiły już do odbiorców radzieckich, czechosłowackich, a nawet szwedzkich. Sądziemy więc, że po ostatecznej sesji, kiedy nowe kompozycje wejdą na antenę, przypomnimy się też rodzimym słuchaczom”.

Kiedy po kilkugodzinnej rozmowie wychodziłem z bloku przy ul. Paganiniego, dobiegła północ. Głowe miałem nabita muzyką, jakiej nie zapomnia się szybko. BAJM to zespół o dojrzałym, niebanalnym wyrazie. Myślę, że najbliższa przyszłość potwierdzi tę opinię.

PS. Na Międzynarodowym Festiwalu Przebojów w Dreźnie grupa BAJM wywalczyła nagrodę dziennikarzy w postaci pięknej rzeźby ludowej, a solistka Beata Pietras została Miss Obiektywu.

Pogratulować!

Taniec nad przepaścią

Fragmety książki Karola Zbyszewskiego pt. „Niemcewicz od prądu i wiatu”.

W marcu 87-ego roku Niemcewicz, upuściwszy nieco dukatów Czartoryskim, machnął się znowu do Paryża.

Właściwie nogami do towarzyskiego koryta. Zaprzyjmał się z bardzo sławnym Chenier, odwiedził panią Cosway, piękną, dowcipną malarkę, literatkę, śpiewaczkę — tyle zalet posiadała kobieta była naturalnie nieznajoma — toteż mąż chętnie spławił ją z Londynu; malowała zle portrety Niemcewicza i żony; poznał Denon — przysięgo towarzysza Napoleona w Egipcie, Alfierię — słynnego, pliskiego tragicznego włoskiego, Jeffersa — pośła amerykańskiego, przysięgo prezydenta Stanów...

Latami po salonach, muzeach, teatrach; elegancki kawaler musiał być subtelny i sentymentalnym — na każdej pastorałce Niemcewicz ronił łzy, na Szekspirze urządził powódź.

— Charmant jeune homme! — krzyczały rżusowacie damy.

Księżna Izabella z synem Adasiem — do którego mówiła zawsze: — mój panie Adamiel i marszałkowska Lubomirka bawily również w Paryżu. Niemcewicz asystował im grzecznie, słuchał cierpliwie

księżnej która nabrała manier meza i co otworzyła usta to wygłaszała moralizatorskie kazania a co napisała list to jakby testament, rozważał na-trwaną marszałkową, która go nazwała Oursini, zarłował ze swej dawnej flamy — Narbutówny, obecnie pani Dembowskiej, że się w karcie nie mieści z powodu ciąży.

Przyjechał z Kijowa [...] Ignacy Potocki. Wy-ruszał tam, aby się hasie do Katarzyny by zjed-nać sobie jej względy, tymczasem carowa przy-chyliła dla Braniczkiego miła dla ks. Józefa Po-iatowskiego, któremu raczyła powiedzieć, że jej stryja w młodości przypomnia, tak serdeczna dla Szczerbego, że już sztykował się skoczyć do jej łóżka, a stamtąd na tron polski, uprzejma dla tłumów przyklekających przed nią magnatów — na niego i Kazimierza Sapiechę, siostrzeńca Brani-ckiego, patrzeć nie chciała, ani razu nie do-puściła ich przed swe boskie oblicze. W ślad za carową ostatnie stupąki dworskie odwracali się od wzgardzonej dwójki plebami. W rosyjskich ko-lach przyjęło potonkinowskie definicje: — Potocki jest un scelerati Sapieha — un pisseur! (Potocki to lotli Sapieha — srulchi).

[...] Wiosna 88-ego roku książę Adam i Niem-cewicz skoczyli do wód pyrmonckich na kurację, wrócili przedko, bo obali o swe zdrowie i należało działać przed nadchodzącym sejmem.

Wojna rosyjsko-turecka zaczęła się w najlepszej. [...] Widząc, że neutralność Rzeczypospolitej zo-stała złamana, Turcy też wzięli na jej ziemię.

Nawet najlepsza szlachta się przerażała: zroz-u-miała że Polska wobec wojny za niedługo musi po-większyć swą śmieśnię małą ilość wojska. [...]

Wszyscy czuli, że moment jest do tego jedyny, że sejm nie może zejść na zwykłej pyskowie. Jakis ożywczy powiew szedł przez kraj — chciano posło-wać nie tylko, by się obzerać w Warszawie, lecz by i coś zrobić dla Polski.

Kandydatów na posłów było trzy razy tyle, co za-wyżcaj — i to spośród najwybitniejszych ludzi, nie same normalne opole [...]

Stanisław August tupal i krzątał się jak zaw-sze — forsował ludzi sobie i Rosji oddanych, chciał sejmu łagodnego, który by uchwalił spłacenie je-go prywatnych długów oraz popierał jego politykę zjedyniania wielkiej Katarzyny pokorą i uleg-łością. [...]

Szczerzy chciał przewodzić, znać...
Rzewuski — bulawie hetmańskiej dawna władzę przywrócić;
Braniccki i stare babstylie — doskwierane królo-wi;

Czartoryscy — być na pierwszym planie. [...]

Szeroki ogół brał szlachty — ciemna tabaka w rogu — wiedział tylko, że należy wojsko powięk-szyć [...], sztykowano się do kreślowania na „kro-lewskich” czy „magnackich” zależenie od wpływów i jakości wina, ale w instrukcjach dla jednych i drugich widniało to samo: aukcja wojska.

By uniknąć nieporozumień przerzonił wyborcy zanneczali jednoczenie: tylko broń Boże żadnej aukcji podatkowej z grosze z Janu i tak ucieni-żają straszliwie szlachę. Jeśli już niezadany król stanowczo bez pieniędzy nie potrafi wyłatać ar-mii, to zabrac część dochodów biskupom, krakow-skiemu zwłaszcza. Dobra poleznie Komisji Edu-kacyjnej odebrać, na wojsko obrócić. Młodzież

nlech się kształcił po klasztorach, a Komisja — o-ble koniecznie chce funkcjonować — niech mni-choń-Belfirów nadgładą. Po wytrąbieniu pół becz-ki wina statyści sejmikowi mieli radę na wyszko-Ignacy Potocki i ks. Adam postanowili wykie-rować Niemcewicza na posła. Sami kandydowali w Lublinie (na Podole książę po ostatecznej chrył był obrażony), w Brześciu stawali Sapieha i Matusze-wicz, wszystkie przywole okregi obsadzili ludzie o wielkich nazwiskach lub zasobach. Książę Adam bardzo lubił pana Juliana, ale nie na tyle, by roz-rzupać nam miesiąc — dał mu listy polecające i wyprawił na Inflanty.

(Na sejmiku wybrano Juliana Niemcewicza po-tem, który...) wesół jak ptaszek wpadł do Skoków, obwieścił swój sukces. Pan Marek aż siękniął: je-go Stanisław August nie chciał zaprotegować, ro-dzony syn go ubiegł. Kleśka kandydatów królew-skich pocieszyła nieco pana Marceliego.

— Dobrze tak starej prukwie! — wołał.

Julianek obiecał rodzicom, że im wstydzi milcze-niem nie przyniesie, że kilkanaście oracyj wygłosi i zaraz po skończonym sejmie — a więc w grud-niu, styczniu najdalej — przyjedzie zdać im do-kładną relację.

Pani Jadwiga żegnana z dumą swego pierworod-nego posła, mówiąc:

— No, nareszcie będziemy mieli sejm do trzeci!

Koniec

Tym słowami kończy Karol Zbyszewski pierwszą część swej książki pt. „Niemcewicz od prądu i wiatu”. Wy-braliśmy z tej pierwszej części co deklawuje fragmenty, których tytuł „Taniec nad przepaścią” pochodzi od re-dakcji. Odciało on chyba historię tego, co działo się w Pol-sce przed dwoma wiekami...